№ 52. Warszawa, dnia (12) 24 Grudnia 1898 roku. Rok XL.

# TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

| w Warszawie: | Z przesyłką pocztową: |
| --- | --- |
| kwartalnie . . rs. 1 | kwartalnie . rs. 1.25 |
| Za odnoszenie do domu *kop. 10.* | półrocznie . „ 2.50 |
| | rocznie . . „ 5.— |

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie Kwartalnie **flor. 1.80,** Na prowincyi **flor. 2.20.** Agencye główne na Galicyę: we **Lwowie Księgarnia Polska** Plac Maryacki 11; **w Krakowie** księgarnia **S. A. Krzyżanowskiego.** W innych państwach związku pocztowego kwartalnie **rs. 1 kop. 60** lub walutą zagraniczną podług kursu **Za zmianę adresu kop. 15.**

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz **petitu** jednoszpaltowy lub jego miejsce **kop. 12** „**Nadesłane**" wiersz garmontu **kop. 50**. Ogłoszenia przyjmuje **Administracya pisma** i wszystkie **biura ogłoszeń warszawskie** i znaczniejsze zagranicą.

Adres Redakcyi i Administracyi: ***Warszawa. Chmielna 26.*** TELEFON 106.

## Od Redakcyi.

Z uwagi, że spóźnione wnoszenie prenumeraty oprócz utrudnień dla administracyi, pociąga za sobą nadto niemożność obliczenia nakładu pisma, przez co wszystkim zgłaszającym się później odmawiać musimy wysyłania „Tygodnika" — upraszamy Szanownych Abonentów o wczesne wnoszenie prenumeraty na kwartał pierwszy roku 1899.

Nowi prenumeratorowie życzący sobie przednoworocznych kompletów rozpoczętych w „Tygodniku" powieści nadsyłać raczą:

Na komplet „Alkhadara" kop. ***35.***
Na komplet „Wyzwolonej" kop. ***15.***

Cena „Tygodnika" pozostaje niezmienioną, a mianowicie:

| w Warszawie. | Z przesyłką pocztową: |
| --- | --- |
| kwartalnie . rs. 1 | kwartalnie rs. 1 k. 25 |
| półrocznie . rs. 2 | półrocznie rs. 2 k. 50 |
| rocznie . . . rs. 4 | rocznie . . . rs. 5 |

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom o nadsyłaniu kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Adres: „Tygodnik Mód i Powieści" w Warszawie, Chmielna Nr. 26.

## Gwiazdka.

„Gwiazdka!" — w dzieciństwa dniach jak słowo to promienieje, jakim czarownym jest pryzmatem załamującym promienie marzeń dziecięcych! Po przez słowo to widzi się.. ach, czegóż się w tym wieku nie widzi?!

W pierwszych latach życia światła są jaśniejsze, ciemniejsze cienie, barwy wszystkie żywsze, wonie silniejsze, pieśni upajające bardziej, niż później, niż potem.

W dniach pierwszej młodości dzień każdy jest epizodem z czarodziejskiej baśni, więc i *Gwiazdka*, ach Gwiazdka nadewszystko jest długo oczekiwanem świętem, jest jednym z najpiękniejszych rozdziałów zaklętej księgi marzeń. Później, później świat się cały szarą jakąś odziewa powłoką, kwiaty już tak nie pachną, blaski już tak nie płoną, tony tak nie dźwięczą, ale zostają wspomnienia z tej dziwnej epoki, z tego czarownego wstępu do życia, i wspomnienia te na szarość i powszedniość bytu padają od czasu do czasu snopem złotych promieni.

Święto grudniowe „Gwiazdka" posiada szczególny przywilej budzenia wspomnień, wywoływania nastrojów rzewnych, nawet w duszach oddawna wystygłych, wydobywania łez z pod powiek oschłych, z oczu przygasłych oddawna.

Ale bo też symbolika naszych domowych obrzędów świątecznych, w głębinach czasów poczęta kryje w sobie tyle charakterystycznych cech naszej duszy plemiennej, tyle idealistycznych i altruistycznych pierwiastków, że musi harmonizować się z najtajniejszemi drgnieniami naszych dusz indywidualnych, musi trafiać w ton, w ten pogodny i zarazem rzewny ton, który jest nutą podstawową naszej pieśni, i dźwięczy w każdej rodzimie naszej duszy.

Żaden ze spokrewnionych z nami narodów aryjskich nie wytworzył, czy nie przechował przez szeregi wieków przecudnego symbolu równości i braterstwa, żaden nie dzieli się białym chlebem ze wszystkimi, którzy stół obsiędą.

Na sianie odbywa się wigilijna uczta. Może to przypomnienie, jedno ze słabych ech przebrzmiałej religii przyrody. Może lud, co na *polach* żył, a modlił się do słonecznej *Pogody*, do szumnego *Poświstu*, grzmiącego *Peruna*, do zielonych łąk, krynicznych zdrojów, do lasów i gór, może i w zimie boską wonią skoszonych traw i kwiatów, oddychać chciał przy uczcie świątecznej.

A my odlegli potomkowie tych ojców-pogan przechowujemy obyczaj stary, nie rozumiejąc go, nie pojmując dlaczego cieszy nas ta garść siana pod białym obrusem, dlaczego smutno nam gdy jej zabraknie. Tajemniczą zaprawdę jest potęga obyczaju.

A opłatek, biały opłatek nasz! chleb braterstwa! Oto zatarte różnice stanów; jesteśmy na chwilę znów jak przed wiekami prości, równi wszyscy—niegdyś w obliczu ubóstwionej Przyrody — dziś w obliczu Betleemskiego Dziecięcia nędzarzy.

Dla ludu chrześcijańskiego trudno o wymowniejszy symbol, o głębszą i piękniejszą naukę.

Z tej nauki braliśmy niegdyś w pewnym przynajmniej zakresie wskazówki do życia.

Ukazanie się pierwszej gwiazdki jest nam hasłem do wigilijnej uczty. Witamy radośnie pierwsze promienie światłości padające w ciemną noc grudniową — cześć oddajemy światłu, a na niezmiernych obszarach naszego życia jakże ciemno!

Łamiemy chleb biały w znak braterstwa, a czyimiż braćmi są tłumy tych, którzy dnia tego wcale do wigilijnego nie zasiądą stołu? A ileż razy w ciągu roku chlebem tym podzieliliśmy się z łaknącymi?

Pewna młoda, szlachetna istota mówiła do mnie: Gdybym miała dom swój, w dzień wigilijny gromadziłabym u siebie wszystkich samotników, wszystkich opuszczonych i głodnych; od ubogiej szwaczki, od osieroconego starca do dziecka bez matki, do biednego grzesznika, którego własna odepchnęła rodzina."

Takich marzycielek i marzycieli jest więcej, a czy są takie Wigilie?

Więc może my jesteśmy obłudnikami, umiejącymi mówić pięknie i poetyczne tworzyć symbole — dalekie, wiecznie dalekie od życia.

Nie, lecz jesteśmy ludem młodym, z okresu marzeń i uczuć wchodzącym dopiero w okres męzkiego czynu. Dzieci słowa i pieśni umiemy marzyć — działać, musimy się uczyć dopiero.

A zaszczepiono nam też w zdrową krew ojców i germańskiego egoizmu, i semickiej czci dla złota dozę sporą, i z tych jadów leczyć nam się potrzeba. Młody organizm zwycięży, i może przyjdą wigilijne dni, w których nie będzie głodnych, samotnych i płaczących. Szczęśliwi nieszczęśliwym otworzą ramiona!



## Kolenda Wigilijna ptaszą.

Nieraz widziałem, jak wróbel — wesoły
Ziarnkiem, zdobytem gdzie na zżętej ścierni,
Albo na śmieciach gumna lub stodoły
Wdzięczny—już miejsc tych trzymał się najwierniej...
Chyba go kruki—smętne archanioły,
Strzegące tych miejsc i chodzące w czerni,
Odpędzą... wówczas znikał z przed ich oczu
I gdzieś w pobliżu krył się na uboczu...

I nieraz wdzięczność ta w małej ptaszynie
Odlecieć nie da w dal i tu ją trzyma...
Ani ją nagie śnieżnych pól pustynie
Odgonią, ani srebrna spłoszy zima...
Aż w Wigilijną noc, w ludzkiej gościnie,
Spadnie jej złoty snop nakształt olbrzyma,
Który nakarmi tę zgłodniałą rzeszę
I da jej w sobie przytułek, jak w strzesze...

Więc zawsze, zanim pierwszy zmierzch wieczoru
Pod ową świętą noc na wioskę padnie,
Nim gwiazdka błyśnie, gdy wnet koło dworu
Bóg wie zkąd wróble zlecą się gromadnie...
I słychać świegot ich cichego chóru,
Ptasząt kolendę gwarną... któż odgadnie,
Czyli wspomnienie dawnych lat ptaszęcą
Sprowadza zgraję?—czy ją okna nęcą—

Z których tej nocy bije blask weselszy,
I tęcz kolorem choinka się wdzięczy...
I pod oknami śnieg się iskrzy bielszy,
Gdy go z za jodeł księżyc omiesięczy?..
Dość, że tej nocy świegot ptasząt śmielszy,
Dość, że radośniej szara harfa dźwięczy,
Na ile drobnej stać piersi objętość...
A może... czują chwili całą świętość?..

Może im także jaki złotopióry
Ptaszek zwiastował cichą wieść radosną?..
Którego z zorzą spuściły lazury,
Nad jaką szronem osrebrzoną sosną...
Więc wieść przyjąwszy tę—ptaszęce chóry
Wybuchły srebrną melodyą głośną —
I nim do uczty wigilijnej siędą
Pod okna ludzkie śpieszyły z kolendą...

*Stanisław Ostrowski.*



Wiktor Gomulicki.

# WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Ciąg dalszy).

W tej chwili w pierwszej izbie dał się słyszeć szczęk naczyń kuchennych, któremi ktoś bardzo energicznie rzucał po stole. Szczękowi towarzyszyło mamrotanie, wychodzące — co łatwo dawało się poznać — z ust bezzębnych.

Kobuz spochmurniał.

— Ha, kanalia!... — zmienionym głosem mruknął.—Dopiero wróciła. I jeszcze brewerye wyprawia.

Roztargał brodę, i znów przywołując uśmiech na usta do Wandy się zwrócił.

— I moje szczęście nie jest bez *ale*. Niema róży bez kolców, ani starego wdowca bez — gospodyni.

— Wdowca?—podchwyciła Wanda, w której niekiedy budziły się instynkta kobiece. Wszyscy w mieście uważają pana profesora za bezżennika.

Kobuz trochę się stropił.

— Czy tak? — spytał, jąkając się. — I dlaczego? Swataćby mnie chcieli, co? Dziwni ludzie! Choć przyznać trzeba, że w istocie... No, ale to do rzeczy nie należy.

Uspokoił się i mówił weselej:

— Tak, moje dziecko, stary odludek nie jest tem, za co go ludzie uważają. Gdy zamknie się w pracowni z książkami, lub wylazłszy na wieżę, patrzy na gwiazdy i spostrzeżenia zapisuje, z nikimby się na losy nie pomieniał. Ale do tego szczęścia nie przyszło się łatwo. Nie jedną ofiarą trzeba je było opłacić.

— Ja myślę — rzekła z wielką powagą Wanda — że na tym świecie każde szczęście okupywać trzeba jakąś ofiarą. Byle tylko nie kupowało się mosiądzu za złoto, a czczych rojeń o sławie za sławę samą.

Kobuz, który od kilku chwil siedział pogrążony w zadumie, zbudził się z niej nagle.

— Słuchaj, dziecko—szepnął— często bywa pożytecznie dla tych, co w życie wstępują, dowiedzieć się coś o niem od schodzących z pola. Jeśli dzielisz to przekonanie, przysuń się bliżej, a ja ci powiem to i owo o swojem życiu. Mam dziś chęć do wynurzeń.

Niemą na świecie kobiety, nawet najbardziej w studyach matematycznych zagrzęzłej, któraby nie przepadała za wynurzeniami. Po chwili więc nauczyciel i uczennica siedzieli tuż przy sobie. Kobuz ze wzrokiem tępym, zawieszonym bezmyślnie w przestrzeni, a właściwie w głębię własnej duszy cofniętym, opowiadał; Wanda ze zmarszczką na czole i ustami pół-otwartemi, słuchała.

---

Jeszcze w szkołach obudziło się w Kobuzie zamiłowanie do astronomii. Do tych tylko nauk przykładał się, które miały z nią związek bezpośredni. Inne przedmioty traktował dorywczo i niedbale. Już wówczas miał na pamięci, że jego wybrana rywalek nie znosi.

Nastąpiła rzecz łatwa do przewidzenia. Zaniedbującego się ucznia uznano za próżniaka i nieuka. Dobra opinja profesora matematyki i geografii matematycznej, ocalić go nie mogła. Wrodzona intelligencya zapewniała mu najwyższe nagrody; tymczasem uzyskał zaledwie patent.

Była to pierwsza ofiara, na ołtarzu ukochanej nauki złożona.

Nastąpiły niebawem ofiary dalsze.

Kobuz miał bardzo bogatego wuja, mecenasa w Warszawie. Ten wuj poświęcił również życie jednemu tylko celowi. W sercu jego, oddanem wyłącznie Temidzie, zabrakło miejsca na inne uczucia: nie ożenił się i wiodąc żywot uczonego samotnika, zajmował się tylko studyami prawoznawczemi i — gromadzeniem pieniędzy. Ten wuj, już blizki grobu, upodobał sobie siostrzeńca i oświadczył, że wykształcić go pragnie własnym kosztem na znakomitego prawnika. Nie ulegało wątpliwości, że w następstwie uczynić go zamierza swym ogólnym spadkobiercą. Pokusa była silna — jednak jej Kobuz nie uległ. Oświadczył wujowi, że prawnikiem być nie chce, i ze szczupłym funduszem wyjechawszy zagranicę, wstąpił do jednego z uniwersytetów na wydział matematyczny.

Rozgniewany wuj zapisał majątek komu innemu.

Młody astronom przeszedł cały czyściec biedy. Walka z życiem osłabiła go i omal nie złamała. Niespodzianie jednak zjawiła się Beatrycze i wybawiła go z otchłani.

Beatryczą była córka gospodyni, niemki, od której pokój odnajmował. Należała ona do panien, które określa się samemi przeczeniami: nie głupia, nie brzydka, nie biedna. Oznacza to zawsze posiadanie wszelkich przymiotów w stopniu umiarkowanym. Do określeń należało jeszcze dodać: nie młoda, ale astronomowie takich drobnostek w rachunek nie biorą.

Starzejąca się Gretchen upodobała sobie młodego Polaka, który wówczas był hoży ciałem, i niebawem — jeśli tak wyrazić się można—powiodła go do ołtarza.

Kobuz ujrzał się niespodzianie posiadaczem ładnego domku z ogrodem, perskiego szlafroka, wygodnych aksamitnych, jedwabiem wyszywanych pantofli i pulchnej, przepełnionej czułością kobietki, która zdawała się mieć jeden tylko cel: wybornymi obiadami i wieczerzami przyprowadzić męża do równej ze sobą tuszy.

Kobuz przeżył rozkoszne miesiące miodowe. Ale pewnego dnia spostrzegł z przerażeniem, że—głupieje. Przywykły do ścisłego rachunku, obliczył się szybko z warunkami nowego życia. Wynik był smutny. Młody uczony zrozumiał, że po łagodnej, flanelą wyłożonej pochyłości stacza się w przepaść. Nie namyślał się długo co czynić. Zebrał resztki sił i—uciekł od żony.

Pojechał do Paryża. Wykłady pewnej znakomitości, której paradoksalne teorye zbić postanowił, nęciły go silniej, niż habrowe oczy i łabędzie łono małżonki. Urania wydała mu się stokroć piękniejszą od jego Wilhelminy.

W Paryżu znalazł tyle rzeczy ponętnych dla siebie, tak oszołomił się studyami, rozprawami i polemiką, że wywietrzało mu zupełnie z głowy, iż był żonaty. Pamiętała jednak o tem jego „słodka" Willa. Z prawdziwie germańską cierpliwością, dopóty szukała go po wszystkich miastach uniwersyteckich, aż znalazła zakopanego w książkach i cyfrach nad Sekwaną, na poddaszu jednego z domów dzielnicy łacińskiej.

Nie znalazła osobiście, lecz przez gońca. Ją samą zatrzymała w domu słabość, wśród młodych mężatek nader pospolita.

Goniec przywiózł Kobuzowi dwie naraz wieści: że rozpacza po nim żona i że oczekuje na niego syn.

Pierwsza wiadomość wcale nań nie oddziałała; druga przyprawiła go o dziecinny wybuch radości. Zaczął śmiać się i śpiewać, i zaraz też zabrał się do pakowania rzeczy. Tegoż samego dnia jeszcze postanowił siąść na kolej i podążyć do swego „Mikołajka."

Ochrzcił już w myśli dziecko imieniem genialnego astronoma.

Ale gdy już miał zamykać walizę podróżną, stanął nagle, jak wryty. Przypomniał sobie, że tego dnia właśnie przypada przejście Wenery przez słońce. Czy astronomowi wolno dzień tak uroczysty obracać na podróż?

W sercu Kobuza walczyli przez chwilę: ojciec i uczony. Zwyciężył uczony. — „Dziecko nie ucieknie — powiedział sobie na pociechę—a drugiego przejścia Wenery mogę nie doczekać."

Pobiegł do obserwatoryum, pozostawiając walizę nierozpakowaną. Postanowił wyjechać nazajutrz rannym pociągiem.

Całą noc prawie zajęło mu pisanie korespondencyi i wysełka depesz do dzienników i ciał naukowych. Zaspał. Koło południa zerwał się z łóżka i począł szybko ubierać się, aby zdążyć na pociąg odchodzący o drugiej. Już miał wołać odźwiernego do zabrania rzeczy, gdy przyniesiono mu korektę.

Była to pierwsza korekta pierwszej jego książki.

Został.

Drukarnia śpieszyła z robotą; wilgotne jeszcze arkusze przynoszono po dwa razy na dzień. Trzeba było poprawiać błędy, robić przypiski, pilnować druku, porównywać i sprawdzać kolumny cyfr, i nie rzadko dla skontrolowania jednej liczby biegać po bibliotekach, wertując liczne foliały. Zabrało to Kobuzowi kilka tygodni czasu, tygodni wypełnionych ciężką pracą, podczas której starał się on nie myśleć o sobie i o swych sprawach osobistych. Praca była ciężka, a jednak młody uczony nie oddałby jej był za najprzyjemniejszą zabawę. Doświadczał przy niej tych pierwszych upojeń autorskich, z któremi chyba tylko upojenia pierwszej miłości porównać się dadzą.

Nareszcie książka była gotowa. Kobuz porwał pierwszy egzemplarz ostrą wonią farby drukarskiej nasiąkły, i postanowił zrobić zeń podarunek synowi. Był przekonany, że kilkotygodniowe niemowlę nadzwyczaj się nim ucieszy.

Prosto z drukarni, z książką swą w kieszeni pobiegł na kolej i wsiadł do odchodzącego właśnie pociągu. Obrócił drogę na Strasburg, gdzie miał zobaczyć się i w pilnej sprawie naukowej porozumieć z pewnym profesorem uniwersytetu. Profesora nie zastał i musiał kilka dni na niego czekać.

Któregoś dnia zaszedł do czytelni naukowej, i wziął do ręki świeżo przyniesiony z poczty jeden z miesięczników paryzkich. Z największem zdziwieniem znalazł tam krytykę swej książki. Z bijącem sercem zabrał się do odczytania artykułu, który był niedługi ale morderczy. Wyszedł on z pod pióra tej właśnie „znakomitości," przeciw której książka była głównie wymierzona. Znakomitość znalazła sposób przeczytania książki w korektach, tak, że dzieło i jego krytyka pojawiły się prawie równocześnie. Kobuz potraktowany został z wysokości nadzwyczajnej i bezlitośnie sponiewierany. Co najgorsze, przeciwnik dopuścił się nikczemności, przekręcając fakta i fałszywie tłómacząc myśli autora.

*(Dalszy ciąg nastąpi).*

# Z za rzek i mórz.

Niezmiernie jaskrawo zarysowywać się poczyna we Francyi ruch antysemicki. Agitacya przeciwżydowska ze sfery interesów, z dzienników i życia politycznego, gdzie najwidoczniejszą była do tej pory, przesiąka do stowarzyszeń, organizuje ligi, urządza odczyty i antysemickie koła w duchu wskazanym przez propagandę, a nawet, jak głoszą stronnictwa żydowskie, rozsyła przychylnych sprawie cyklistów, którzy obiegając prowincyę, upowszechniają książki, broszury, gazety i śpiewy.

O ile mogą jednej lub drugiej partyi okazać się pożytecznymi cykliści, nie podejmujemy się rozstrzygać, to pewna jednak, że Drumont i jego stronnictwo nie próżnuje; wydawnictwa wyrastają jak grzyby po deszczu, a nawet walka przeniosła się już do kolonii. We Francyi, liczebnie biorąc, nie jest żywioł żydowski silnym, stanowi on bowiem zaledwie 0,15 na 100, co na całość zaludnienia, jednolitego zresztą zupełnie, wynosi 70,000 zespełna. Ale gdy zważymy, że w tej garstce wcale prawie niema proletaryatu, że owszem wszystko to rozsiadłe jest na stanowiskach, wpływowe, możne, solidarne i w sprawach plemiennych idące karnie w myśl kierunku, rzecz nabiera innego zupełnie oświetlenia. Ludzie, którzy wytworzyli Francyę dzisiejszą rządzącą, mieli wpośród siebie pierwiastku żydowskiego przewagę nieledwie; Cremieux, Gambetta, Grevy, Simon, a wreszcie po co ich wymieniać koleją, kiedy w historyi czterdziestu lat ostatnich co krok prawie natrafiamy na jednego z nich, i co krok na dzieła przez nich spełnione. Materyalnie są potęgą niezmierną, bo wedle obliczeń ostatnich posiadają jedną czwartą majątku całego państwa. Mały ułameczek wynoszący siódmą część jedności w stosunku do stu, rozwielmożnił się tak, jak gdyby całej ludności 25% wynosił, co się tedy dziwić, że ze strony autochtonów oglądających się poza siebie—wśród stopniowego zaniku ducha francuzkiego, budzą się niechęci, rodzi instynkt obrony od zalewu, że wzrasta nieufność i trwoga o przyszłość. Juścić trudno się gniewać na Francuza, gdy mu o to chodzi, aby jego Francya pozostała francuzką, a tu stronnictwa przeciwne ruchowi wyglądają doprawdy tak, jak gdyby, albo nie pojmowały niebezpieczeństwa, albo godziły się ze stanem rzeczy. Tymczasem żydzi gorliwie propagują indyferentyzm wyznaniowy, stając jawnie lub skrycie przy zakonie własnym i tem wytrawiają żywioł miejscowy.

Pominąwszy zawziętości ludzi szalonych, psujących najlepszą i najczystszą sprawę nietaktem i porywczością, wyparłszy się raz na zawsze wszelkich gwałtów, jako niegodnych wielkiej cywilizacyi, zgodzić się jednak musi każdy, że Francya na podstawie prawa i słuszności bronić się powinna temu rzekomo pokojowemu podbojowi, choćby tylko z uwagi, że skoncentrowana w niewielkiej liczbie rąk ta jedna czwarta bogactwa narodowego, w bardzo bliskiej przyszłości stanie się połową, i tak to pójdzie już dalej bez możności oporu w stosunku rosnącym, boć wiadomem jest dobrze, że mienie potentatów pieniężnych, wcale nie na takich samych prawach się mnoży, jak mienie mass pracujących. Na nic się tu nie przyda z pewnością i energia, i wynalazczość, i geniusz francuzki. To wszystko może sobie w pewnej mierze pozostać dla przyszłości, ale tylko na usługach warstwy jednej, która zwierzchniczo rozsadowi się, ssąc wszystkie soki żywotne tego organizmu na swoją korzyść. Nie należy tylko krzywić ludziom zdrowego sądu wielkiemi słowami, takiemi jak: nieubłagane prawo postępu, rozwój uczuć humanitarnych, tolerancya równouprawnienia, i inne podobne, a natomiast postawić kwestyę prosto i jasno: Czy Francya jest dla Francuzów lub nie? Reszta argumentów, to czcza zupełnie i nieuczciwa nawet sofistyka używana jako broń przez nieuleczalnie naiwnych, albo przez ludzi złej wiary. Nie trzeba być stronnym, nie trzeba przeciw takiej prawnej obronie powstawać

chrzcić jej epitetem wstecznictwa, nietolerancyi, obskurantyzmu, bo tu, w tym wielkim procesie inwazyi z jednej, a spóźnionego niestety zabezpieczenia się z drugiej strony, nie samą tylko walka o byt się dokonywa. Tak chcą wmówić ogółowi ci nowi zdobywcy świata, ale tak nie jest wcale. Owszem, tu idzie o ideę—o wielką ideę. Ten, komu się jeszcze mieści w głowie i w piersi miłość i poszanowanie dla tego, co on nazywa swojem, kto pragnąłby zachować nienaruszonem w właściwościach swoich to, czego bronili krwią i życiem przodkowie jego i on sam, ten choćby nie był człowiekiem nienawiści rasowych, koniecznie z niechęcią i z myślą oporu patrzeć musi na to wdzieranie się takie pośpieszne, na tę chęć owładnięcia taką namiętną, a nakoniec na zaślepienie, z jakiem szczep semicki staje do obalania ideałów, których niedorasta, nie przynosząc w zamian nic, prócz swojego „ja." W dodatku to „ja" wcale pociągającem nie jest, i przeciw niemu bronić się muszą wszyscy, poczynając od wnuków Krzyżowców, aż do formacyi społecznych ostatniej doby.

To się właśnie spełnia w tej chwili we Francyi, i na to powstawać mogą tylko umysły bardzo stronne i bardzo uprzedzone, a przedewszystkiem umysły ludzi, którzy na tej lub innej drodze z ideą narodowości zrobili rozbrat zupełny. Że zaś indyferentyzm na te, wszechwładne jeszcze niedawno względy, staje się za dni naszych coraz powszechniejszym, więc nie dziw, że obrońców między jednostkami nieliczącemi się nawet pochodzeniem do plemienia żydowskiego, przybywa zdobywcom.

Tej obojętności na zasadę jakąkolwiek coraz więcej na wszelkich drogach i w każdej społeczności. Z wielce charakterystycznym objawem tego upadku spotykamy się w społeczności angielskiej, i to tej mianowicie sfery, która dotąd wytrwalej niż odpowiednia w innych narodach opierała się zanikowi, bynajmniej nie okazując się skłonną do rzucenia pod nogi kaprysowi chwili swego poszanowania dla rodowitości i dobrowolnego poniżenia nazwisk historycznych.

Donoszą naprzykład świeżo dzienniki o zachciance księcia Manchester wstąpienia na scenę. Łatwo zrozumieć, że trafił ten aspirant do laurów artystycznych na zdecydowaną opozycyę w rodzinie własnej i całej wogóle arystokracyi swojego kraju. Dzięki temu zapewne trudno mu bardzo szło z zaangażowaniem na jakąkolwiek scenę krajową, bo żaden teatr nie chciałby się w ten sposób narazić warstwie społecznej najbardziej wpływowej, a wywołaniem skandalu nie można tu dokazać tak wiele jeszcze jak we Francyi naprzykład. Musiał tedy książę-dyletant wyrzec się spodziewanych oklasków na własnej ziemi, i dlatego zawarł z nim kontrakt jakiś pomysłowy impresario amerykański, który z pewnością złoty interes zrobi pokazując za pieniądze członka najdumniejszej z arystokracyj świata, w komedyanckiem przebraniu i ze szminką na policzkach. Można być demokratą i przyjacielem równości, aż do głębi przekonań, a nie gustować w maskaradach tego rodzaju, byle się miało szczyptę poszanowania dla przeszłości historycznej kraju, i tę przeszłość w duchu i formie, w faktach i osobach ich przedstawicieli uważało, jako nienaruszalną spuściznę pokoleń.

Epoka, która z książąt robi komedyantów, musi mieć dla komedyantów książęce stanowiska. Tak też jest.

Już to wogóle powiedzieć sobie musimy, że w miarę jak życie samo wraz z jego zabiegami wyższego porządku, z jego popędami idealniejszymi, żądzą sławy, tracić się zdaje na ważności, występuje sztuka teatralna na plan pierwszy i dobija się zuchwale o miejsce, o którem dla niej nikt dotąd nie zamarzył. Bohaterstwa, dla których w życiu, my, przeżyłe dzieci kończącego się stulecia niemielibyśmy nic prócz szyderczego uśmiechu wyższości, nęcą i roznamiętniają na scenie. Akcya, którąbyśmy w życiu nazwali donkiszoteryą, na scenie budzi entuzyazmy ludzi przeświadczonych o zupełnej nicości życiowego zachodu. Niepojęte jest to wszystko razem. Teatr—teatr i teatr!

Co tu myśleć o znaczeniu takich np. objawów, jak te, które spotykamy przy budowie naszego Lwowskiego teatru. Przeznaczone zrazu na ten cel jakieś 7 do 8 kroć sto tysięcy reńskich okazują się niedostatecznemi, a więc podnosimy w myśl pokus, stawianych przez architektów, tę summę aż do miliona stu tysięcy florenów, i zadawalnia nas to, i robi dumnymi, że zdobyliśmy się na taką ofiarność, boć tu przecie nie o co innego, jeno o podniesienie tej sztuki krajowej chodzi. A tymczasem dzieje się to w prowincyi ubogiej, zapomnianej, wyssanej przez żydostwo, mającej cały osobny dział literacki zwany: literaturą biedy galicyjskiej, i używającej na punkcie produkcyjności najsmutniejszej sławy w całej monarchii. Radzimy o potrzebach ludu, nie zchodzi nam z ust ten lud, i zasłaniamy się przed sumieniem, powtarzając za panią matką, że „nam żal poezyi w pieśniach i w czynach, i bohaterów żal nam pochodu, lecz ludzkość musi myśleć o synach ginących z głodu," Bardzo mizernie zapobiegamy temu głodowi taką metodą, a że on nie jest fikcyą—że istnieje, to fakt niezbity.

Jeżeli w istocie piękno ustępować musi miejsca użyteczności, to znalazłby można wiele naglejszych potrzeb w Galicyi, jak zbytkowny teatr za 1,100,000 florenów.

*K.*

# TA DRUGA.

## Epizod.

— Juściż nie codzień chyba można oglądać podobną parę.

— Pewnie. Panna Idalia, a w tej chwili już pani Idalia, to królowa odzyskująca tron, od którego ją złe losy oddzieliły na chwilę.

— Kimże będzie Adam podług ciebie?

— Adam przyniósł ze sobą na świat imię odpowiadające na wszystkie pytania: człowiek—pierwszy człowiek—arcy-człowiek!

— Powiedz po prostu: nadczłowiek, będzie to krócej i współcześniej zarazem.

— Nie na miejscu ironia, kiedy mowa o nim. Można nie być skłonnym do uwielbień i nienawidzieć wszelkiego dworactwa, a mimo to przyznać, że przekąsy stają się śmieszne, gdy chodzi o jedno z tych dwojga ludzi, a stokroć śmieszniejsze jeszcze, gdy mowa o obojgu.

— Jeszcze by też! Coś bajecznie skończonego ma w swoim rodzaju każde z nich. Bije od nich, nie mówiąc o wdzięku zewnętrznym całkowicie wyjątkowym, taka szczególnie usprawiedliwiona świadomość własnej wartości bez cienia pospolitej pychy — świadomość szczęścia, które sobie przynoszą wzajemnie, a gdybym się nie lękał kusić przeznaczenia, powiedziałbym, że i świadomość nawet losów...

— Lepiej zrobisz, jeśli nie będziesz kusił. One bez tego może się tylko przyczaiły gdzie te losy udając drzemkę. Zresztą tak potrącać nogą mściwe fatum, jak ty, w podobnej godzinie w dodatku...

— Za wiele już dotąd powiedzieliście wszyscy. Oto obrzęd kończy się niedługo, niewiadomo jakie siły czekają ich poza progiem kościelnym, a tych waszych świadomości... Nie gadajcie mi o szczęściu przy takim wysokim stopniu uświadomienia. Szczęście ludzkie i świadomość! Tylko ludziom we frakach i białych krawatach przychodzić mogą na języki brednie podobne w podobnych chwilach.

— Przychylam się do opinii ostatniego mówcy i wyznaję, że ślub Adama, którego świadkami byliśmy w tym samym kościele przed pięciu laty bodaj, pozostawił mi wspomnienie o wiele sympatyczniejsze. Od tamtych dwojga to w istocie biła jakaś łuna szczęścia w tym dniu. On młody, sokolich lotów człowiek podówczas, ona... no jutrzenka prawdziwa, bo i jak ją nazwać inaczej! A dziś co? Dziś patrzymy na dojrzałość, na jesień życia, piękną, wspaniałą jesień — zgadzam się na to, ale jesień!

— Co znowu! Jaka tam jesień! Przesada u was we wszystkiem. Co najwyżej mogę powiedzieć że to jest lato...

— Niech będzie lato. Jaka mi wielka osobliwość to twoje lato! Drwię ja sobie z lata grubo! Lato wszak to początek końca. Ale że tamto była wiosna, to fakt.

— Nie darmo też i długo potrwała ta ich wiosna. Panie odpuść! Lepiej dać pokój tamtemu epizodowi całemu, skoro...

— Basta panowie! Ksiądz kończy swoje przemówienie, a choć huczy coś w tym zdezelowanym organie, że trudno się dosłyszeć niezapominajcie, że za chwilę państwo młodzi mijać nas będą, i że wam nietylko głośne uwagi przerwać, ale i na twarze inny, bardziej okolicznościowy, wyraz przywołać potrzeba.

Jakoż robił się już przed wielkim ołtarzem ów ruch charakterystyczny, towarzyszący ukończeniu ślubnego ceremoniału; młoda kobieta wsparta na ramieniu mężczyzny późnego wieku i znacznej powagi, otwierała pochód—jemu towarzyszyła osoba lat średnich, która mimo wielkiej dystynkcyi, najdoskonalej niewieściego typu, przypominała rysami twarzy pana Adama, którego w istocie była siostrą rodzoną. Za niemi postępowała reszta weselnego orszaku, oprócz młodzieży

męzkiej tworzącej szpaler podwójny na tle szpaleru zieleni.

Szli tak między dwoma rzędami pomarańcz i laurów bez chmury na czołach, ale i bez manifestacyjnych oznak uszczęśliwienia w twarzy, bez sztywności w postawie, ni uśmiechów w spojrzeniach, jakgdyby ich w tej chwili zajmowała ponad wszystko konieczność wywiązania się z aktu grzeczności, należnego zgromadzonym.

Ona dziękowała wyrazem oczu i zaledwie dostrzegalnem pochyleniem głowy, on szczerym, a nieprzymuszonym uściskiem ręki, który rozdawał ze świadomością swojej popularności i ogólnego uznania.

„Veni Creator" kończyła jakaś zamaszysta improwizacya wiejskiego organisty, przylepiona dosyć niezręcznie do tego hymnu pod niosłego; wraz z ostatnim jej tonem znikł po za wielkiemi drzwiami świątyni orszak cały, który pospieszał teraz do podjeżdżających powozów i karet, a wnętrze przybytku zaległa cisza uroczysta, odpowiadająca w zupełności ważności aktu, który związał przed chwilą dwoje istnień ludzkich, jak się to mówić zwykło—na złą i dobrą dolę.

Słówko teraz krótkie o przeszłości tych dwojga ludzi, bo tym razem oboje w istocie mieli przeszłość poza sobą. Ze względów łatwo zrozumiałych zaczniemy od niej.

Pochodziła z rodziny możnej i szanowanej, była dzieckiem jedynem w domu, a zatem punktem środkowym, do którego odnosiły się wszystkie myśli i zabiegi rodzicielskie. Matka odumarła ją, gdy miała lat 17, a wkrótce ją, wychowaną starannie, rozwiniętą już umysłowo i duchowo wyrobioną zupełnie, spotkała jedna z tych katastrof nieprzewidzianych, które w okamgnieniu druzgocą domy doszczętnie. Ruina materyalna całkowita, bez żadnej winy ze strony ojca, owszem ku zaszczytowi prawdziwemu jego imienia, połączona z jednoczesną jego śmiercią, zostawiła ją sierotą bez dachu nad głową, bez tych nawet resztek smutnych dawnego dostatku, które pozwalają na chwilę żalu, a następnie rozmysłu, zebrania sił, i postanowienia o przyszłości.

Ale los zawzięty trafił tym razem na materyał kobiecy wyjątkowego hartu. Panna Idalia nie znosiła bezradnego sentymentalizmu, miała niepomierną dozę dumy rodowej, niedopuszczającej nawet do głowy myśli szukania kompensaty w korzystnym związku małżeńskim, a samo przypuszczenie ludzkiego współczucia, litośnych uwag i objawów szczerej czy nie szczerej kompassyi, właściwej sferze, z której wychodziła, popędzało jej krew do mózgu.

Miała czem podzielić się z drugiemi, mogła zostać nauczycielką, i bez jednej chwili wahania wybrała sobie to powołanie. Obliczyła dobrze, bo wszystkie domy równe jej niegdyś pozycyą towarzyską otworzyły się na rozcież przed jej pierwszą zrobioną propozycyą w tym duchu. Wybrała z pomiędzy nich ten, który jej najbardziej przypadł do przekonania, została w miesiąc po śmierci ojca przewodniczką dwóch siostrzenic pana Adama; tu się oni poznali ze sobą i tu zawiązał się stosunek, którego akt ostatni widzieliśmy rozgrywający się w wiejskim kościele.

On był wdowcem, jak to już wiemy z wtrąconej uwagi jednego z uczestników obrzędu.

Po pierwszej żonie pozostała mu pięcioletnia córeczka bardzo przypominająca rysami tę drobną, nikłą kobietkę, którą dzisiaj ktoś z obecnych nazwał jutrzenką, i nazwał najtrafniej jak było można. Krótko trwają jutrzenki wszelkie, i jej życie długiem nie było. Jakie było pożycie państwa Adamów w szczegółach, nie wiedział dobrze nikt, to wszakże znanem było ogółowi, że nadzwyczajnego szczęścia nie było w tym związku. Z jakich powodów—dlaczego, nie dochodzili ludzie, bo nie było tam nic krzyczącego, a nawet nic, coby zdradzało tak zwany chłód małżeński. Owszem, rodzina najbliższa i domownicy nawet przekonani byli, że wyglądali oni ze sobą sam na sam tak, jak przy ludziach, że on nie zaniedbywał jej nigdy, ona nie zdradzała objęściem zawodu życiowego ani zniechęcenia, tylko wzrastającej wraz z pożyciem miłości, tylko coraz doskonalszej harmonii dusz, zdarzającej się między dwojgiem ludzi wtedy, gdy jedno odkrywa w drugiem z dniem każdym jakiś nieznany a sympatyczny rys charakteru, nie było w tem stadle z pewnością. Ona młoda, piękna, bogata, szanowana, nie promieniała nigdy tem szczęściem, jakie rozsiewają dokoła na otoczenie swoje kobiety bardzo kochające i kochane. On, mówiono po cichu, stracił w pierwszym zaraz roku pożycia część swojego rozpędu męzkiego, zatrzymał się w akcyi, no... umniejszył się jednem słowem. Gdzież mogła być przyczyna, tego jeśli nie w stosunku małżeńskim niedostatecznie zharmonizowanym.

Tyle o tem krótkiem, minionem pożyciu powiedzieć można. A teraz powróćmy do naszego świetnego orszaku, który zastajemy już za biesiadnym stołem.

Uczta była jak wszystkie uczty weselne w domach możnych, a różniła się tem jednem chyba, że pod koniec jej sam zaszedł epizod dosyć w istocie niezwykły, który na razie uszedł jednak uwagi niedostrzeżony przez nikogo.

Po niewiedzieć którym już z rzędu toaście, zbliżył się dyskretnie gospodarz domu i szepnął do ucha nowożeńcowowi:

— Jest do ciebie list, Adamie. Oddaćbym ci go nie chciał, bo tu go przecież czytać nie będziesz, tem mniej mogę cię odwołać... w takim dniu.. w takiej chwili...

— Zkąd pismo?

Szwagier pana Adama przyciszonym głosem powiedział znowu parę słów.

— W takim razie otwórz sam i powiedz mi treść.

Musiała być ta treść i ważną, i niepomyślną bardzo, bo na twarzy pana Adama po wysłuchaniu odbił się wyraz żywego niepokoju, zawodu, boleści nieledwie.

Siedząca obok żona obserwowała tę wymianę słów i instynktem odczuła ważność chwili.

— Zaszło coś—prawda?

— Pozwól mi zatrzymać to przy sobie choćby na dzisiaj—powiedział prosząco.

Młoda kobieta uśmiechnęła się z przymusem:

— Ważność chwili, prognostyk na resztę pożycia naszego, a może wstrząśnienie nerwowe? Wszak o to ci chodzi?..

— Niekoniecznie, ale w istocie...

— Rób jak uważasz...

W tem zgodzeniu się było jednakże coś, na czem pan Adam poznał się zupełnie, a co nie było mu przeciwnem wcale. Widział w tem odwagę życia kobiety dojrzałej, gotowej w każdej chwili spojrzeć losowi oko w oko.

— A więc słuchaj.

Tu opowiedział jej wszystko, co jemu samemu było dotąd wiadomem.

— Zlituj się—ty chciałeś zamilczeć o tem. Ależ trzeba jechać, jechać natychmiast.

— To prawie niepodobna.

— Owszem, zupełnie podobne. Proś siostry, aby, o ile się da, skróciła ten festyn zabójczy, poczem znikniemy niepostrzeżenie.

— Jakto? a ty...

— Ty pojedziesz, gdzie masz obowiązek do spełnienia, a ja będę cię czekać u.. ciebie... u nas w domu—poprawiła się z pewnym wysiłkiem.

W godzinę niespełna on spieszył, aby przyjąć przyjacielskie zlecenia in articulo mortis... ona dążyła pod dach sobie nieznany i to było przedsięwzięcie, które nawet tę kobietę onieśmielało do pewnego stopnia.

*(Dokończenie nastąpi).*

# ZIEMIA OBIECANA.

**Powieść Wład. Stan. Reymonta.**

SPRAWOZDANIE.

(Ciąg dalszy).

Ze społecznością tutejszą nie asymiluje się, a przyniesiona z heimatu pogarda plemienia naszego uwalnia go od poznania się na wartości sił lokalnych, do których oceny wreszcie brak mu także i zmysłu moralnego. Jednocześnie oczyszcza mu ta pogarda jego specyficzne kupieckie i niemieckie sumienie z tego wszystkiego, z czegoby się człowiek nasz ani przed sobą, ani przed swoimi usprawiedliwić nie zdołał.

Oto niezmierne przewagi tego przybłędy nad człowiekiem naszym, gdy idzie o zrobienie grosza.

Z żydem o wiele krajowcowi trudniej jeszcze. Póki żyd robi pieniądzem, prowadzi zawsze lichwę, jeśli zostanie fabrykantem zabija jak rzekliśmy fuszerką swego naśladownictwa; gdy mu i tego jeszcze za mało, gdy jest blizkim ruiny, pali swój zakład przemysłowy i wychodzi milionerem z katastrofy. Jest to u żydów metodą stałą, nie kryją się oni z nią przed nikim, prócz sądów, mają też potemu swoją odpowiednią organizacyę i swoją solidarność plemienną, i swoje nakoniec tryumfy pieniężne, które przed nimi rychlej lub później wszystkie głowy tłumu pochylają.

Z tymi żywiołami walka konkurencyjna nie jest dla nas do wytrzymania, i to stawia jako domyślne założenie w powieści Reymont.

Nie chce autor powiedzieć, aby i pomiędzy nami nie miało się znaleźć wyjątków zdolnych do pójścia tą samą drogą—owszem być mogą i są, tylko człowiek taki nie może należeć do naszej społeczności oświeconej, nie może żyć w tej sferze—ani utrzymywać stosunków towarzyskich, ani wychowywać rodziny do warunków tutejszych, ani znaleść sobie kobiety jak się należy na żonę, któraby mu sekundowała w tym pojedynku ze słusznością, prawem i moralnością.

Niemka i żydówka przyjmuje taki byt potępiony od mężczyzny—z kobietą naszą dojść do kompromisów w kwestyach podstawowej moralności dotąd jest bardzo trudno.

Ten amalgamat tedy cały jaki jest zadyszany, zaszachrowany, wstrętny świadomym i nieświadomym cynizmem swoim, odbija w naszym wewnętrzym organizmie, niby nowotwór jakiś wysysający krew i życie, i zachodzące w niem starcia i konflikty wziął Reymont za przedmiot studyów swoich w powieści „Ziemia Obiecana." Jak się wywiązał autor z założenia swego, powiemy na końcu, tymczasem idzie nam o osobistości główne i o fabułę samą.

Osobistością główną nie typową, ale miarodajną odnośnie do założenia, jest Karol Borowiecki, syn posiadacza ziemskiego, a zarazem człowieka bardzo pięknej przeszłości. Jest on oddawna zaręczony z młodą dziewczyną niepośledniej wartości; w tę ostatnią kreacyę wlał autor dużo talentu swego, a przytem znać tam wiele bardzo prawdziwego wniknięcia w istotę i dodatnie właściwości charakteru kobiety naszej. Anna jest postacią skończenie piękną, a prawdziwą do granic możebności.

Borowiecki, jako typ, liczy się do pokolenia, które zainaugurowało epokę trzeźwego poglądu na sprawy wszelkiego porządku. Syn rolnika, wcześnie obrzydził sobie zawód ojcowski; człowiek wybitnych, jak się zdaje, zdolności, oddał się zawodowi przemysłowemu; Polak pochodzeniem pokłócił się z tradycyą, i żyje w kameraderyi najbliższej z dwoma tylko kolegami z Rygi, z których jeden Max Baum, jest Niemcem i synem łódzkiego webera starego autoramentu, jedynego sympatycznego Niemca w całej powieści — drugi Moryc Welt, żydem, ale żydem najgorszego gatunku i smaku, jednoczącego w sobie harmonijnie arrogancyę kantorowicza z wyższem niby wykształceniem i uspołecznieniem. Mieszka z nimi wspólnie w Łodzi Borowiecki, i to go od początku kompromituje w oczach czytelnika, bo to nie żaden dopiero aspirant do karyery ten Borowiecki, to owszem farbiarz, o którego się dobijają pierwszorzędne firmy łódzkie, a którego siłą tylko bardzo wysokiego wynagrodzenia trzyma przy sobie Buchholz, pierwsza potęga przemysłowa Łodzi. Ten Buchholz, jest to sobie także okaz brutalstwa i zuchwalstwa teutońskiego, wybornie i z predylekcyą nakreślony przez Reymonta, za co mu się, przyznać należy, o wiele większe uznanie od nas w imię prawdy, niż wdzięczności od Niemiaszków Łódzkich należy.

Nie dziwimy się wcale Borowieckiemu, że ucieka w końcu od tego chama rozpierającego się na złocie i depczącego po wszystkiem i po wszystkich—nie dziwimy, że pragnie pracować niezależnie i założyć fabrykę na swoją rękę, ale trudno zrozumieć, dlaczego kojarzy spółkę przemysłową, do której łączy za sobą Bauma i Wellta. Szczególny ten gust tłumaczy się brakiem przekonań i właściwością ludzi wyrosłych na gruncie ogólnego indyferentyzmu pokolenia.

No, ale bo i ten Borowiecki sam, od czego też to i on rozpoczyna tę swoją samodzielność handlową! To także rys charakterystyczny bardzo. Odwiedza on późno swoją dobrą znajomą, piękną panią Zucker, semitkę na śmierć w nim zakochaną, i tam dostrzega porzuconą na podłodze depeszę, odebraną dziś przez jej męża z Hamburga, wskutek której ten mąż wyjechał natychmiast po wielkie zakupy bawełny. Za mało jest zakochany Borowiecki, aby mu się ta depesza nie miała wydać najcenniejszą zdobyczą dzisiejszej schadzki, więc przyspiesza koniec tego sam na sam, kradnie sekret profesyjny człowiekowi, którego już dosyć skrzywdził w inny sposób, i biegnie zbudzić komilitonów, którym wyjawia tajemnicę handlową, a owocem konferencyi jest natychmiastowe zawiązanie spółki i wysłanie Moryca także po zakupy bawełny, w ślad za tym głupim Zuckerem.

Jak widzimy, bez kwalifikacyi do zapasów, Łódzkich, nie był wcale pan Borowiecki, ale czas przekona, że było to niedostateczne.

Ma zresztą Borowiecki przykrajane do swego przemysłowego fachu pojęcia o słuszności. Wybucha naprzykład oburzeniem na Buchholza, gdy ten jednem słowem upokorzy go na jego zależnem stanowisku, ale potrafi jednocześnie ostro bardzo zmonitować kantorowego praktykanta Horna, za to, że ten doradza wdowie po robotniku zabitym przez maszynę—kobiecie cierpiącej głód z dziećmi, a pozbywanej przez zarząd obietnicami już od roku, aby się udała na drogę sądową. Borowieckiego to oburza, bo jak można w jakikolwiek sposób działać przeciw interesowi firmy, służąc u tej firmy. „W fabryce nie wymaga się od pana egzaminów na człowieczeństwo, mówi on w gniewie; fabryce są potrzebne wasze mózgi i mięśnie — więcej nic..." Taki sobie z niego fanatyk idei wielkiego przemysłu, no i apostoł osobistych korzyści zarazem.

Jest też to bo i sfera ta, w której się obraca Borowiecki. Kantorowicze w knajpie; pieniężniki prostaki w towarzystwie niemieckiem wraz z ich kobietami apatycznemi i bez pojęć wszelkich; pieniężniki trącące kryminałem pochodzenia żydowskiego, a ich kobietki, to znowu, proszę siadać.. jak to mówią... Prostactwo Niemek jest w porównaniu z pozorną ogładą żydówek, ich obyczajowem rozpasaniem i budujące, i pociągające nawet. Niemka to może zero, to po części kobieta-niewolnica, ale kobieta—o tamtych nie da się wcale powiedzieć żeby miały być kobietami.

Szaja Mendelsohn, Grosglück i Zucker, to matadory świata żydowskiego—niższy chór finansowy Łodzi, to Grünszpany, Bibersteiny, Stojowscy i inne ryby tego rodzaju. Zlewają często się te dwa światy: żydowski i niemiecki ze sobą, bo dla pieniężnika Niemca lichwiarz żydowski nie cuchnie bynajmniej. Tu i tam rubel jest wszystkiem — jest Bogiemi i niema Boga prócz niego.

W świecie kobiecym żydowskim Borowiecki jest rozrywanym. Pani Zucker nie jest bynajmniej pierwszą, której on raczył rzucić chustkę; mężatki wydzierają go sobie tymczasem, a milionerzy Niemcy i żydzi zarówno polują na niego jak na zięcia, bo to mocna głowa w interesie ten Borowiecki, chociaż Polak, a przytem kolorysta-chemik najlepszy w całej Łodzi. On bywa wszędzie, a niechaj czytelnik nie wyobraża sobie, aby takie uczęszczanie do towarzystw zbogaconych żydów było czemś, co nie wymaga od człowieka ofiary z siebie—z godności własnej, aby zetknięcia podobne nie plamiły i nie poniżały człowieka naszego. Trzeba dobrze nasiąknąć zgnilizną i nicością przekonań w wieku młodzieńczym, trzeba pogardzić treścią tego, z czego się wyszło, i odrzucić z rozmysłem wszystko, co się mieć winno przed sobą, żeby módz przyjąć udział w tych orgiach, w których nie wiadomo co wprzód podziwiać czy nicość etyczną, czy pospolitość upodobań uczestników. Bardzo jaskrawo szkicuje Reymont jedno podobne przyjęcie w domu pana Szai Mendelsohna.

Przedewszystkiem kobiety mężatki i panny są tam z mężczyznami na „ty," i to stanowi nawet regulamin towarzyski, którego przekroczenie pociąga za sobą grzywny. Rozmowy podsycane przez młodzież semicką są na wysokości kantorowego tonu; rozrywkami, które tutaj porywają, możnaby u nas zabawić zaledwie służbę podrzędną, a dodawszy do tego zbytek materyalny rozpasany prawdziwie, nieświadomość wszelkich warunków rzeczywistego uspołecznienia, pogardę pracy i nudę, której miliony i to, co za nie kupić można, rozpędzić nie mogą — odbieramy wrażenie, od którego w istocie jak od zmory odczepić się nie można po przeczytaniu. Jedna niby — jedna jedyna jest tam nieco odmienną od reszty, a tą jest panna Melania Grünszpan, ale i ta chwilowo i z racyi tylko, że jest zakochaną w doktorze Wysockim, człowieku w istocie jak się należy, który zabrnął w to plutokratyczne piekiełko, i sam sobie także rzetelnie zapruszył głowę ową żydóweczką. Ma on na szczęście matkę, która z nim mieszka w Łodzi; ona wie coś o tym stosunku, i bardzo umiejętnie zwalczając obłąkanie syna, dochodzi do tego, że dr. Wysocki, przekonawszy się, iż byłaby to poprostu potworność, rezygnuje i z córki, i z milionów papy Grünszpana, o które mu w istocie wcale nie chodziło. Sentymentalna semitka otrzeźwiawszy, na poczekaniu wychodzi pod koniec powieści za Moryca Wellta, spólnika Borowieckiego, a ten urabia ją w krótkim czasie na godną siebie towarzyszkę.

(*Dokończenie nastąpi*).



# KRONIKA.

### *Na zniżkę.*

Szczególny konkurs rozpisało Towarzystwo pedagogiczne we Lwowie. Idzie o powieść dla młodzieży w wieku od lat 12 do 16, powieść osnutą na tle swojskiem, która obejmować ma 10 do 15 arkuszy druku. Przynętą materyalną, przy pomocy której myśli Towarzystwo pedagogiczne pobudzić twórczość bliższych i dalszych sił literackich, stanowi nagroda konkursu, a zarazem oznaczona z góry cena nabycia na własność utworu nagrodzonego. Otóż tych nagród jest dwie: pierwsza wynosi 200, druga 100 reńskich, a nadto od arkusza 25 reńskich. Ponieważ tych arkuszy ma być 10 do 15, weźmy za podstawą obliczenia średnią ilość t. j. 12 arkuszy, i z tego wyrachujmy wysokość zysków, jakich się spodziewać ma prawo autor nagrodzony. Dwanaście arkuszy obejmuje mniej więcej 6,200 do 6,500 wierszy. Wziąwszy tedy razem i nagrodę i cenę nabycia, wypadnie za wiersz w przybliżeniu coś około 7 centów waluty austryackiej. A jednakże taka powieść dla młodzieży wymaga i kwalifikacyi pedagogicznej i talentu wybitniejszego. Jeśli tedy autorów nagrodzonych w ten sposób honorować zamyślają na przyszłość wydawcy, to spodziewać się należy, że od pracy literackiej usunie się w niedługim czasie wszelkie uzdolnienie. I nie będzie mogło nawet być inaczej, bo w starą bajeczkę o podsycaniu twórczości przy pomocy umiejętnego treningu, nikt już dzisiaj nie wierzy, a najmniej skłonnymi są wierzyć ci, którzy mają być przedmiotem takiego wydawniczego eksperymentu.

### *Dla miłośników muzyki.*

W połowie Stycznia przyjedzie do Warszawy znany na obu półkulach wirtuoz fortepianowy p. Ignacy Paderewski. Jak wiadomo, od czasów Liszta nikt nie posiadł w świecie muzykalnym tak powszechnej, niekwestyonowanej i z nikim nie dzielonej sławy artystycznej, jak Paderewski. Usłyszymy nakoniec i my w Warszawie tę grę tak rozsławioną, a usłyszymy po trzykroć, tyle bowiem razy postanowił znakomity pianista dać się słyszeć w rodzinnem swojem mieście. Żaden z tych występów na osobistą korzyść koncertanta miejsca mieć nie będzie. Poprzedza tedy pana Paderewskiego wielka artystyczna sława, poprzedza go jeszcze oprócz jednomyślnie przyznawanego talentu wykonawczego i twórczego, niezaprzeczone jego czynne interesowanie się wszystkiem, co swoje, i przyjmowanie udziału w każdej pożytecznej i owocnej gałęzi pracy jego społeczności.

### *Z prowincyi.*

Donoszą dzienniki, iż pomoc lekarska po wsiach została już zorganizowaną w gubernii Płockiej. Osiedleni po miastach i osadach lekarze w pewne stale oznaczone dni przyjmują w miejscowościach odległejszych. Niezależnie od tego przyjmować będą lekarze w miastach po ambulatoryach bezpłatnych. Pensya lekarzy objazdowych wynosi rs. 900 i 3 rs. od każdego wyjazdu. Praktyka prywatna poza tem wzbroniona im jest bezwzględnie. Wielki też był czas u nas na tę reformę, dotąd bowiem są miejscowości, w których lud wiejski zostaje zupełnie na łasce i niełasce felczerów, znachorów, wszelkiego rodzaju wyzyskiwaczy, którzy bezkarnie zupełnie szerzą stałe zniszczenia sroższe niż niejedna epidemia.

## O stołowej bieliźnie.

Jakkolwiek pragnęłabym podzielić się z szanownemi czytelniczkami wszelkiemi nowościami na tem polu, wszakże wszystkich arcydzieł sztuki tkackiej niepodobna przejrzeć, a cóż dopiero przeliczyć i opisać—trzebaby chyba illustracyami sobie dopomódz; tymczasem w tej korespondencyi słowo zastąpić musi illustracyę.

Rozmaite wyroby składają się na przepych dzisiejszej bielizny stołowej; widzimy zwyczajne tkaniny adamaszkowe „Jacquart," proste lniane, płótna cienkie, nawet materye jedwabne; wszystko to razem przyozdobione haftem, który zręczne paluszki specyalnych pracownic artystycznie wykonywają. Wszystkie arabeski, bukiety, gałęzie, haftuje się płaskim jedwabiem filozelowym, lub nicią lnianą, która naśladuje zupełnie jedwab.

Fabrykanci zagraniczni dostarczają stosownej bielizny: obrusów, serwet i serwetek—już odpasowanej z wrobionemi w materyi ażurami, na której haftuje się bogate desenie, czasem skromnym mereszkowym ściegiem, łatwym do prania, a najczęściej jedwabiami. Dekorowanie kolorami bielizny bardzo w użycie weszło, do tego stopnia, iż jeżeli obrus jest zupełnie białym, pokrywa go się najkosztowniejszymi chemins de table z koronek, materyi jedwabnych i haftów; przy wielkich występach, uroczystościach, opina się girlandami świeżych kwiatów. Czasem gdy stół jest mniejszy, daje się na białym obrusie haftowane milieux, pokrywające tylko środek stołu; Jeżeli serwis na stole jest w stylu rococo, w takim razie nakrywki na obrusie muszą być owalne i haftowane w wykręcane girlandy. Czasem dla zmiany środek stołu biały, niczem nie zakryty, wtenczas pięknie haftowana chemin de table kładzie się wzdłuż stołu po obydwóch stronach, tuż przed talerzami.

Wytwór przechodzi w tym względzie wszelkie pojęcie i nieraz żal patrzeć, że arcydzieła sztuki igiełkowej narażone bywają na rozliczne niebezpieczeństwa ucztowe, jak splamienie sokiem owocowym lub polanie winem czerwonem. Może daleko praktyczniejszymi pokażą się w przyszłości stoły nie nakryte, o których pisaliśmy w 48 nr. „Tygodnika," lub stół z wielką płytą szklanną, przez której przezroczystą powierzchnię widać nogi biesiadujących. Stół taki błyszczący jak tafla lustrzana, rzeźbiony w kwiaty, za pociśnięciem guzika elektrycznego, zmienia barwy, obrzucając gości coraz nowym refleksem światła. Oświetlenie elektryczne doprowadzone dziś do doskonałości, przyczynia się do wywołania efektu i na patrzącym robi wrażenie bajki z Tysiąca i jednej nocy.

Wszystko to zbytek, który cechuje nasz fin de siècle; nie znały go babki, prababki nasze; w dębowych szafach leżały stosy pięknej, cienkiej bielizny stołowej, białej i czystej jak śnieg, w bogate wzory adamaszkowe tkanej, pachnącej lawendą i macierzanką, a jak się tam dobrze działo!

Dzisiejsze obrusy wszystkie mają szlaki ażurowe; dawniej na środku haftował się wielki monogram biały lub kolorowy, dziś moda wymaga aby były cztery monogramy równej wielkości, na każdym z czterech brzegów, na środku haftowany.

Zdaje się, że zbytek największy wkradł się do gabinetów, gdzie po obiedzie podają czarną kawę lub wieczorowy fife oclock. Bywają serwety z indyjskiego jedwabiu w złoto żółtym, zielonym, lub jasno lila kolorze. Na tych serwetach brzeg haftowany szeroko, cienkiemi tasiemeczkami point-lace w odcieniu żółtawym.

Piękny garnitur tego rodzaju wykonanym był w Paryżu. Obrusik miał haft cieniowany jedwabiem różowym i zielonym, wyobrażający kwiaty orchidei; bukiety rzucane osobno, tworzyły u dołu listkami zęby, głęboko wycinane; takie same były serwetki, których się już pod filiżanki nie kładzie, lecz wkłada w środek, pokrywając serwetką filiżankę i spodeczek.

Elegancya ta u wytwornych pań nietylko jest w salonie—i w kuchni widzimy ścierki lila do szkła, żółte do porcelany, bronzowe do noży i widelcy, na każdej wyhaftowany monogram lub jakaś sentencya z *filozofii kuchennej*.

*Z A.*

## Wskazówki i rady.

Legumina makowa na ciepło.

Kwaterkę maku szarego kilka razy sparzyć, odlać wodę i utrzeć w donicy z pół funtem cukru miałkiego, dodać 4 łuty oparzonych i utłuczonych migdałów, do tego wbijać po jednemu sześć żółtek, gdy to doskonale utarte, ubić sztywną pianę z białek, domięszać lekko do makowej massy i razem z pianą sypać półkwaterek przesianej, tłuczonej, jak najpiękniejszej bułki; rondel powinien być już przygotowany, poprzednio posmarowany i wysypany bułką lub mąką, co jest wszystko jedno, natychmiast po włożeniu piany i bułki, włożyć w rondel i wstawić w piec miernie gorący na pół godziny. Wyjąwszy z rondla posypać cukrem i polać śmietanką słodką.

Lepiej utrzeć odrazu pół kwarty maku, połowę użyć na leguminę, a drugą połowę przetrzeć z kwaterką słodkiej śmietanki, osłodzić dobrze cukrem z wanilią, lub utrzeć w śmietankę jeden gorzki migdał i podać go w sosierce osobno do leguminy. Taka babka makowa smakuje na zimno jak ciastka makowe cukiernicze, szczególniej jeżeli się dołoży w wiercony mak z migdałami trochę skórki pomarańczowej smażonej, w kostkę krajanej.

*Lucyna Ćwierczakiewiczowa.*



☛ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i prospekt „Kuryera Świątecznego" dla prenumeratorów zamiejscowych.

Prospekt na 1899 r.

# „Gazeta Polska"

Dziennik polityczny, społeczny i literacki wychodzi w Warszawie przy współpracownictwie doborowych sił pisarskich.

W szeregu ulepszeń, jakie zaprowadziliśmy w wydawnictwie „Gazety Polskiej", wybitne miejsce zajmuje powiększenie objętości naszego

## Bezpłatnego tygodniowego Dodatku do Gazety.

Każdy prenumerator „Gazety Polskiej" otrzymuje bezpłatnie ***co tydzień książkę*** czyli corocznie

## 52 tomy książek darmo.

Ten tom tygodniowy rozsyłany jest **bezpłatnie** wszystkim prenumeratorom, zarówno w Warszawie, jak na prowincyi. Obejmuje **najmniej dziesięć** arkuszy druku, i ma za treść co tydzień inny **utwór wybitny**, bądź oryginalny, bądź tłómaczony.

*Bezpłatny* COROCZNIE 52 tomy darmo. *Dodatek.*

W ciągu pierwszych dwóch miesięcy IV kwartału otrzymali prenumeratorzy „Gazety Polskiej" dzieła następujące: St. Kozłowskiego nowy dramat p. t. *Taboryci*; T. T. Jeża powieść trzytomową p. t. *W zaraniu*. E. Goncourta powieść p. t. *Bracia Zemganno*; T. Padalicy *Powieści Ukraińskie*; E. Rostanda słynne dzieło *Cyrano de Bergerac* w przekładzie Maryi Konopnickiej i Wł. Zagórskiego; jeszcze do końca kwartału dostaną 5 tomów, a mianowicie Ireny Mrozowieckiej powieść *W płytkim prądzie*; Norweskiego pisarza J. Lie *O Zachodzie*, Andersena tom *Bajek* i Kl. z Tańskich Hofmanowej *Krystynę*.

W r. 1899 do szeregu 52 tomów dodatku bezpłatnego wejdą: dzieła *oryginalne* polskie, przekłady znakomitych dzieł nowych *zagranicznych* i *biblioteka arcydzieł* literatury wszystkich wieków i narodów.

*Bezpłatny* COROCZNIE 52 tomy darmo. *Dodatek.*

A dostaje prenumerator nasz te 52 tomy corocznie **naprawdę** darmo, bez żadnych dopłat, bez zwrotów kosztów opakowania czy przesyłki. Smiało też powiedzić możemy, że na **takich warunkach nikt nigdy jeszcze książek nie dostawał.**

Wyboru książek dokonywa Redakcya przy współudziale p. p.

**Zygmunta Glogera, Kaz. Kaszewskiego i Ign. Matuszewskiego.**

Od Nowego roku „Gazeta" drukować się będzie na maszynie pospiesznej rotacyjnej odbijającej 10 tys. egzemplarzy na godzinę, co daje rękojmię wczesnej regularniej wysyłki „Gazety" zarówno na miasto w Warszawie, jak na prowincyę.

***Redaktor i Wydawca JAN GADOMSKI.***

**CENA „GAZETY POLSKIEJ"** wraz z Bezpłatnym Dodatkiem Tygodniowym.
**W Warszawie:** Rocznie 9.60; półrocznie 4.80; kwartalnie 2.40; miesięcznie kop. 80. Z odnoszeniem do domów. **Na Prowincyi:** Rocznie rs. 12; półrocznie rs. 6. Kwartalnie rs. 3. Wielkie rozpowszechnienie „Gazety Polskiej" zaleca ją jako pismo, w którem najkorzystniej jest umieszczać **ogłoszenia**.

**Adres: Warszawa, Warecka 14.**



Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Декабря 1898 г. Warszawa Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca Jan Skiwski. DODATEK.

Edmund Chojecki.

# ALKHADAR

**Ustęp z życia ojców naszych.**

(Ciąg dalszy).

Piotr sądził, że nie należało dłużej zwlekać; nastręczała się sposobność, trzeba było otwarcie z niej korzystać i samemu zacząć.

— Słusznie mówisz — rzekł — wyborne pistolety! oglądałem je właśnie na chwilę przed twojem przybyciem, a oglądałem, powiem szczerze, dla tego, aby się przekonać, czy cię jutro nie zawiodą. Mój Kaziu, po co prawdę owijać w bawełnę?... W kimże już będziesz miał zaufanie, jeżeli mnie go odmówisz? Dzieckiem przecie nie jestem, udanym spokojem zbyć się nie pozwolę. Mówmy z sobą jasno, po bratersku; dzięki Bogu mamy wspólne, nietylko nazwisko i ród, ale uczucia honoru i własnej godności. Sądzę, że niema ważnej sprawy, w której nie potrzebując się znosić i naradzać, nie wyrazilibyśmy tego samego zdania—w której oba nie postąpilibyśmy jednakowo. Krótko mówiąc, dzisiejsze zajście musi skończyć się pojedynkiem. Nie przerywaj mi. Bądź spokojny; pomimo mego przywiązania znam konieczność pewnych obowiązków i poświęceń.

Kazimierz z tęsknym uśmiechem złożył napowrót pistolet, zamknął pudełko, klucz podał bratu.

— Niesprawiedliwie — rzekł — posądzasz mnie mój Piotrze; nic nie ukrywam przed tobą, mówić atoli mogę o tem tylko, o czem sam myślę. Zaniechaj przygotowań i przedwczesnych niepokojów. Nie ma z czem zbytecznie się spieszyć; mamy jeszcze dość czasu.

— Jakto — dość czasu?..— przerwał Piotr— nie wiesz chyba która godzina. Wkrótce będzie zapóźno; nie dobudzę się Skałki.

— Zostaw go mój bracie, niech śpi spokojnie. Nie ma po co go budzić.

— Nie rozumiem cię; przecież sprawy odwłóczyć nie myślisz. Pojmuję, że dziś, z pijanym nie chciałeś mieć do czynienia, ależ Wilczek przez noc się wytrzeźwi... Byłem przekonany, że wszystko skończy się jutro, o świcie.

— Myliłeś się. Jutro?... nie widzę potrzeby.

— Pojutrze zatem?

— Nie; tem mniej pojutrze.

— Chcesz załatwić pewne rozporządzenia, potrzebujesz czasu?

— Bynajmniej, nie myślę o żadnych rozporządzeniach.

— Kiedyż więc?... na Boga! mów Kaziu, nie dawaj mi zagadek! Bez tego dość skołataną mam głowę.

— Zagadka dla obu nas jednakowa. Pytasz mnie, kiedy?... Cóż ci mogę odpowiedzieć?... kiedyś, później, może nigdy. Czas nie jest w naszej mocy; więcej rzec nie mogę, więcej sam nie wiem.

Piotr nie dowierzał własnym uszom.

— Niech mnie piekło pochłonie—zawołał— jeżeli rozumiem choć jedno słowo! Ja mówię o jutrzejszym pojedynku, ty mi odpowiadasz: później albo nigdy! Oczywiście, każdy z nas co innego ma na myśli. Nie przypuszczam bowiem, abyś w sprawie tego rodzaju, gdzie każda chwila pogarsza, rozjątrza stanowisko, chciał wahać się, odkładać, a co więcej, czemu nigdy nie uwierzę, całkiem krzywdę puszczać płazem.

— Źle czynisz, że nie przypuszczasz i nie wierzysz Trzeba przypuszczać i wierzyć w rzeczy zwyczajom często najprzeciwniejsze. Nic nie ma niepodobnego pod słońcem; dawny to ale prawdziwy aforyzm. O czem mówiliśmy?... o pojedynku z Wilczkiem?... Powiedziałem i powtarzam, że ani jutro, ani pojutrze, ani za tydzień, ani za miesiąc bić się nie będę. Wszakże ja jestem obrażony, do mnie zatem należy naznaczyć porę i miejsce, wyzwać lub nawet nie wyzwać.

— Nie przeczę mój bracie; uznaję również wagę sprawy, wiem, że są w życiu położenia, w których popędliwość jest zgubną, głęboki rozmysł koniecznym, ale z drugiej strony, w gwałtownych razach, skutkują gwałtowne tylko środki. Dziś, głównie o to nam chodzi, aby w mieście jednocześnie dowiedziano się o zajściu i o skutkach. Energiczne rozwiązanie sprawy wtłoczy napowrót w gardziel niesforne języki. Wprzódy, nim potwarz roześlini się jadem, kula mózg jej potrzaska. Zniewaga i hańba spadną na winowajcę. Niech później rozwija zabójcze swe skręty, niech nad kim innym pastwi się opinja!...

— Opinja mój bracie?... Sakramentalny wyraz—Bóg, przed którym wszystko na twarz padać powinno! Opinja?.. dość wymówić ten wyraz, aby grobowem milczeniem zwarły się usta własnego sądu, aby w poniewierkę poszły wola i samodzielność, aby człek przed zapianiem kura dziesięćkroć pomiótł własnem zdaniem i wyparł się Świętego Ducha. Mniejsza o to, czy w głosie jej prawda czy fałsz tętni; przemówiła, i wnet z wolnego staje się służalec.

— Zgoda — odrzekł Piotr — co do mnie, nigdy w wielkiem poszanowaniu nie miałem ludzkich języków! Przyznaję, że własne sumienie człowieka powinno być jedynym sędzią jego uczynków. Na nieszczęście wiele jeszcze wody upłynie, zanim błogi ten pewnik wejdzie w życie ogółu. Co począć tymczasem? Samemu jednemu niepodobna świata przerobić; wystąpić otwarcie do boju z przesądem, można, ale nie we własnej sprawie.

— A to dla czego?... We własnej lub w cudzej sprawie, rzecz obojętna, skoro walka toczy się między światłem a ciemnotą. Gdzież zasada. gdzie potęga, którąby zmusiła świadomego prawdy kłaniać się bałwanom dla tego, że pogańska czerń nie chce uznać istotnego Boga? Kto za prawdę bojuje, ten zapiera się samego siebie — we własnej i w cudzej sprawie, ten zawsze i wszędzie zarówno piersi nadstawiać powinien. Kość padła!... Wiem, że wynoszący się nad opinję ściągają na siebie gromy powszechnej zaciekłości; stokroć byłoby im wygodniej kamień młyński zawiesić u szyi i skoczyć w najgłębszą toń morza. Ludziom zdaje się, że kto gardzi ich przesądem, ten nimi samymi pogardza, że goni za wywyższeniem, za władzą. Dotknięta próżność, obrażona miłość własna nie znają miłosierdzia. Bądź przekonany mój bracie, że w różanych tęczach przyszłości nie widzę, ale chociażby głupota, złość, potwarz, upokorzenie miały mi ostatnią kroplę krwi wytrawić, choćby mi przyszło wieki męczarń wycierpieć, postąpię według siebie, Jeżeli zemstę mam w sercu, zemszczę się; niech mnie świat, prawo, niech mnie wszystko i wszyscy potępią! Jeżeli pragnę przebaczyć, zapomnieć lub odepchnąć urazę, chociażby jednozgodny chór wszystkich uczciwców i wszystkich szlachetników wstydem grzmiał mi w uszy: zapomnę, przebaczę.

Piotr czoło ocierał; zmarszczki niezadowolenia wybiegały mu na lice. Rzecz wydawała się mu zbyt prostą; nie sądził, aby bratu przyszło do głowy we własnej sprawie wyprowadzać na jaw swój sposób widzenia odrębny, przeciwny zwyczajom, niebezpieczny dla młodego człowieka, tylko co wchodzącego w świat, zgubny dla niego samego i dla tych, którzy losy swe mieli z nim połączyć. Prawdziwych zamiarów nie mógł w słowach Kazimierza dopatrzeć, z tego jednak, co dotąd usłyszał, przeczuwał, że w najpomyślniejszym razie zwłoka zagrażała rozwikłaniu zajścia. Zwłoka, według Piotra była połową przegranej.

— Zastanów się Kazimierzu, bracie mój, daj przystęp prawdzie wysłuchaj doświadczonej rady. Przesądem pojedynek—zgoda; ty atoli na poddaniu się temu przesądowi nic nie stracisz, tembardziej, że jak sądzę, sam nie jesteś mu przeciwnym. Więcej nawet; odrazu zniszczysz nieszczęsny dla narodu, zgubny dla młodzieży wpływ Wilczka i jemu podobnych; odrazu zapanujesz nad opinją, ustalisz twoją powagę, nabierzesz potrzebnego wpływu, będziesz mógł ze skutkiem przeprowadzać szlachetne twoje zamiary; odrazu staniesz tam gdzie inaczej, znękany, na pół zużyty, dowleczesz się zaledwie po długiej pielgrzymce. Na Boga żywego! przecież nie zatrzymuje cię trafność Wilczkowego oka; trafniejsi od niego strzelcy kości zostawiali na miejscu pojedynkowych spotkań.

Uśmiech tęsknoty i goryczy przebiegł po licu Kazimierza.

— Dziecko jesteś, mój Piotrze — rzekł — nie poznałeś mnie dotąd; nic dziwnego, przez tyle lat byliśmy rozłączeni.

— Jakież więc twoje zamiary?

— Pierwszy i nieodmienny, że ani jutro. ani pojutrze, ani za tydzień bić się nie będę.

— Kiedyż?

— Kiedyś!... sam nie wiem kiedy.

— Może nigdy?

— Może nigdy.

Piotr drgnął niecierpliwie na ten spokojny odgłos własnego zapytania, wbiegł myślą na

skutki niepojętej kolei zamiarów Kazimierza, ujrzał zniszczone w jednej chwili dzieło długich swoich prac, gorących nadziei; spostrzegł niesławę i pośmiewisko zasiadające na niepokalanym dotąd progu rodziny, zniszczony byt najdroższych sobie istot, własne życie odarte z pociechy i z celu.

Powstał, i kończąc niejako myśl w duszy zaczętą, porywczo rzekł:

— Nie ma innego środka, chociażbyś mózg wysuszył! Sąd ludzki nie wchodzi w pobudki jednostki, zwłoki nie cierpi, czynu tylko patrzy. Masz wóz i przewóz: albo pojedynek jutro o świcie, albo o południu już powszechne potępienie. Zastanów się!... opuszczą cię znajomi i przyjaciele, nikt ci nie poda ręki.

— Przyjaciele — mój bracie?... znajomi?... gdzież oni — po czemże ich poznajesz?... po ostatnich frazesach w liście czy po uchyleniu kapelusza na ulicy? Znajomym moim ten kto mnie zna; przyjacielem, kto świadomy mojej duszy ukochał mnie więcej niż samego siebie i z zamkniętemi oczyma, z nieograniczonem zaufaniem uwierzył, że śród ważnych wypadków, postępowanie moje, wprawdzie tylko—w głębokościach czystego sumienia, może zaczerpnąć pobudki. Reszta to czerń.

— Dla czerni!... — zawołał Piotr — któż tu o niej wspomina? Musisz przecie dbać o kogoś między znajomymi. Wolno ci drwić z wrzasków ogółu, ale pamiętaj, że w tym tłumie niechętnych znajdą się ludzie, z którymi wszedłeś w zbyt ścisłe związki, abyś zdaniem ich mógł bezkarnie pomiatać. Potępiony wyrokiem ogółu, co poczniesz, nie znalazłszy nikogo, ktoby względem ciebie chciał wznieść się nad sąd opinii, co poczniesz w razie, gdyby sam Sokolnik zamknął ci swój dom?

— Gwałtem drzwi nie wysadzę. Bliżsi i dalecy znajomi, Sokolnik równie jak ci, których raz ledwo w życiu spotkałem, muszą mnie przyjąć jakim jestem. Chociażbym nadludzkie siły z siebie wydobył, zmienić się dla nikogo nie zdołam. Kto chce mnie innym niż jestem, ten lepiej postąpi wyrzekając się mnie zawczasu; oszczędzi sobie nadal niepotrzebnych złudzeń.

— Bądź spokojny, mój bracie — odrzekł Piotr wzruszonym głosem, nie będę dłużej muru głową rozbijał; nie usłyszysz więcej odemnie ani dowodów, ani rozumowań. Nie mam z czego zdobyć się na najmniejszą uwagę, wyczerpałem ostatnie siły. Sam nie wiem co jutro, co dalej pocznę. Myśl o przyszłości mózg mi rozsadza. Mniejsza zresztą o mnie. Ale ona?... Biedna dziewczyna! na przedwstępie życia, jak zniesie tę ciężką próbę, jak z uczuciami kobiety potrafi przekonać się, że obojętne zapomnienie zniewagi, może być wypadkiem słusznych, szlachetnych, męzkich pobudek? Nie — nie, Kazimierzu; nigdy nie uwierzę abyś miał wynurzyć przede mną zdanie szczere, poważne, ostateczne. Puśćmy w niepamięć naszą rozmowę. Żartowałeś z brata. Zgoda, przyjmuję żart; podziwiam w podobnej chwili pogodę twego umysłu, powiedz tylko, że w głębi sumienia podzielasz mój sąd, że zamiar twój rozwiązania przeklętego zajścia, w niczem od mojego się nie różni. Nie uwierzysz ilem wycierpiał przez te kilka godzin. Nie skarżę się — przeciwnie, wyznaję, żem zasłużył na naukę. Powątpiewanie o tobie z mojej strony było niegodziwością. Zbłądziłem. Ale czas upływa; mówmy z sobą poważnie, po bratersku, po przyjacielsku. Bądź przekonany, że nie bez wysilenia nabędę potrzebnego spokoju. Oszczędź mi trudu. Szalony! jakże mogłem przypuszczać, że w twojem położeniu, w wigilją prawie złączenia twoich losów z drogą ci istotą, w pierwszym niemal kroku między ludzi, zechcesz rozpocząć drogę życia od podeptania zwyczajów, jeżeli chcesz, barbarzyńskich, fałszywych, ale koniecznych, nieodmiennych i nieuchronnych, wyrosłych bowiem na glebie niezaprzeczenie szlachetnych uczuć. Omyliłem się?... bracie mój, nieprawdaż?...

Kazimierz ukrył twarz w dłoniach; zacięta walka uczuć wrzała mu w duszy. Piotr targał go za najdrażliwsze struny serca, błagał w imieniu szczęścia i spokoju brata i kochanki, brata, którego był ukochanem dzieckiem, wychowańcem—kochanki dla której był wszystkiem.

Ale zły duch niezwalczonej konieczności, pędził go inną koleją, tłumił w nim popędy czystego uczucia, zgrzytał mu w ucho inną pieśń, o krwawej zwrotce, o złowrogiej treści.

Kazimierz powstał z krzesła, wsparł się dłonią na stole. Strasznie był blady.

— Nie, mój bracie — rzekł — nie omyliłeś się; drogo płacę moje postanowienie, ale odstąpić go nie mogę. Czekajmy cierpliwie przyszłości. Dziś, odmawiam ci tego, czego po daleko uporczywszych naleganiach, sam sobie musiałem odmówić. Dwie biegną przedemną drogi. Pierwszą zwyczajną, i łatwą znaczą ludzkie oklaski, wygodne zadośćuczynienie płytkim namiętnościom obrażonego, zyskowny hołd oddany przesądnej świata opinii. Druga droga, to szlak pustynny, samotny, gdzie odpoczynkiem zgrzyty potwarzy, gdzie wędrowiec im bardziej zbliża się do celu, tem więcej oddala od szczęścia, od spokoju. Drugą drogę obrałem, już po niej kroczę; na pierwszą wracać zapóźno.

— Nie zapóźno Kazimierzu! — od zajścia doba jeszcze nie upłynęła. Powiedz słowo, sam natychmiast udam się do Wilczka, sprawę ułożę; jutro o świcie wszystko się skończy. Przez miłość boską nie zwlekaj! Gdyby nawet środki, jakie ci doradzam, w tej chwili na opak stawały twoim przekonaniom — nie wahaj się. Zaufaj radzie brata, który od tylu lat twoje tylko dobro ma na celu. Wielki Boże! gdyby biedna nasza matka żyła, ona pierwsza ze łzami, u nóg twoich, powtórzyłaby ci moje słowa.

— Droga matka!—rzekł Kazimierz—szczęściem dla niej, że nie dożyła tej chwili. Odpowiedziałbym jej to samo co tobie! Ale ty Piotrze jesteś mężczyzną, ty więcej znieść potrafisz. Ona umarłaby z rozpaczy!

Płomień uniesienia coraz goręcej Piotrowi do głowy uderzał; wytrawiał w nim ostatnie szczątki cierpliwości.

— Przekleństwo!... — zawołał — piekło podszeptuje ci słowa! Gonisz jak opętany za własną zgubą. Świetne położenie, spokojność brata, los kobiety, której przysiągłeś miłość, uczciwe imię Porajów wszystko zuchwale depcesz, wszystko marnie poświęcasz dla fałszywych urojeń, dla dalekich jakichś celów, które wiele muszą być warte, kiedy wspomnieć nawet o nich się obawiasz. Przeklęta niech będzie godzina, w której wyjechałeś z kraju, w której napotkałeś obcych ludzi, i zapowietrzyłeś się od nich zdaniami przeciwnemi zasadniczym uczuciom człowieka! Dość ci było pierwszej sposobności, aby w jednem okamgnieniu zniszczyć pamięć długich i szlachetnych trudów całej rodziny. Szczęściem dla naszej matki, powiadasz, że dnia dzisiejszego nie dożyła. Masz słuszność. Umarłaby nie ze smutku, ale zgrozy. Pękło by w niej serce, które dla ciebie tylko biło. Przywiodłeś mnie do tego, że błogosławię wczesny jej zgon, że własne życie obmierzłe mi odtąd i nieużyteczne, gorzkiemi łzami gotów jestem opłakać. Obojętny na drugich, wszędzie widzisz samego siebie. Postąp jak zechcesz. Odwołujesz się do twego sumienia, ja także do mojego się odwołam. Nie mogę bronić czynu, który we własnem przekonaniu potępiam. Między powstającymi na ciebie — pomnij — usłyszysz dobrze znany ci od kolebki głos brata. Zostaniesz sam, bez nikogo, powtarzam; sam jeden przeciw wszystkim. Ale nie... mylę się... sam nie wiem co mówię. Ciebie obłąkał niespodziany dzisiejszy wypadek; ja tracę zmysły, patrząc na grożące nam skutki. Dalej!... spiesznie!.. jutro o świcie — broń: pistolety. Mniejsza o trafność jego strzału; zabijesz go, wyjdziesz nietknięty; mam niezawodne przeczucie. Nieprawdaż Kazimierzu, bracie mój, że wierzysz mojemu przeczuciu? Słuchaj wreszcie, nie chcesz dziś nic postanowić; zgoda! zaczekajmy do jutra! Noc przyniesie ci dobrą radę; namyślisz się. Jutro o wschodzie słońca dość jeszcze będzie czasu. Przyrzeknij tylko, że stałego zamiaru nie powziąłeś, że do jutra może go jeszcze odmienisz. Rozmyśl się, zastanów; masz przed sobą kilkanaście godzin.

Kazimierz zacisnął usta i milczał.

Piotr, w milczeniu brata poczuł nieubłagany opór; sam też wyczerpywał ostatki cierpliwości; stanął przed nim zagniewany i popędliwie rzekł:

— Rozumiem; dajesz mi poznać, że każdy z nas winien być panem swej woli. Niech tak będzie!... jednem słowem zakończę spór i rozmowę. Dla własnych moich względów, muszę wiedzieć, co mam począć. Chcesz się bić jutro, lub nie? Ostatnie słowo?

— Na początku już je powiedziałem i nieodmienię przy końcu.

— Nie chcesz?

— Nie.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

**Przedmioty Gospodarstwa Domowego** *Jerozolimska 72* — **MAGAZYN „METROPOL"** — **Sprzedaż za gotówkę i NA RATY od 30 kop. tygodniowo** *Jerozolimska 72* 1004—50 5

## Gabinet-dentystyczny.

ze specyalną pracownią do wstawiania
**ZĘBÓW SZTUCZNYCH**
od 1 do 10 rub. za sztukę
818-52-41 **przyjęcie od 9 do 6:**
Chmielna N-r 16. m. 4.

## „PRIMUS"

Kuchenki naftowo - gazowe palące się ***bez knota***, nie wydzielając odoru i kopcia.

Sprzedaż u

## Ed. Dusoge

***Nowy Swiat 5.***

Cenniki gratis i franco. 945—25—19

**Okulary**, Binokle i Lornetki od rs. 1. **Pasy brzuszne i Bandaże rupturowe** sprężynowe, gumowe, lekkie i nietamujące ruchów ciała od rs. 2 **Opaski hygieniczne** damskie ulepszone po kop 40, 75 i rs. 1. Obstalunki listowne uskuteczniam bezzwłocznie. 868-40-20
***Michał Pik,*** optyk mech. m. Warsz.
**Warszawa, ulica Miodowa nr. 1**

**DENTYSTA CHWAT**
*Królewska 29.*

**Specyalność:** Leczenie i plombowanie zębów — **Zęby sztuczne** od 9-ej do 11-ej rano wyjmowanie chorych zębów pod **Chloroformem** w obecności lekarza. 937-25-19

**Nakład J. Błaszkowskiego**

## Książka do Rachunków dla Kobiet,

w gospodarstwie domowem za najpraktyczniejszą uznana, dająca obraz wydatków codziennych, miesięcznych i rocznych, na każdy przedmiot, a tak wygodna, że dosyć jest wpisywać liczbę w gotowe rubryki.

Jest do nabycia w Księgarni

## M. ARCTA

Nowy-Świat róg Wareckiej,
i we wszystkich innych księgarniach.
1037-3-2 **Cena kop. 60.**

Przygotowanie i sprzedaż dozwolona na ogólnych prawach handlu Warszawską Radą Lekarską za № 2022.

## „DENTOL"

Proszek do zębów
wynalazku
***W. Tomczyńskiego***

Denthol nie ściera emalji, nadając biały kolor zębom, zapobiega próchnieniu, oraz dezynfekuje jamę ustną. 1036-12-2

**Główny Skład**
*Warszawa, ulica Leszno Nr. 28.*
**Żądać w aptekach i w Składach aptecznych.**

NOWY ZARZĄD

## CZYTELNIA DLA KOBIET

**Warecka 9.**

Stale zaopatruje z nowości wszystkie działy. Bogaty dobór dzieł poważnych oraz klasycznych w 5 językach. Dla abonentek bez dopłaty 18 czasopism w 4 językach. Abonament miesięcznie **40** kop. 817—32—22
**Wysyłka na prowincyę.**

**Klementyna K.** b. krojczyni magazynu W-ej D. Kurdelskiej, wykończa wszelką krawiecczyznę damską starannie i niedrogo. 1001-12-9
***Ogrodowa 19 m. 14***

Każdy prenumerator

## TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

otrzyma w r. 1889 ***bez żadnej dopłaty***

## 12 tomów DZIEŁ SIENKIEWICZA

w nowem wydaniu, obejmującem w 36-ciu 10-cio arkuszowych tomach (z wyjątkiem „Trylogii"), **wszystkie utwory autora „QUO VADIS."**

TYGODNIK ILLUSTROWANY daje rocznie **przeszło 1200 illustracyi** oraz **bezpłatne REPRODUKCYE KOLOROWE OBRAZÓW mistrzów naszych.** W roku 1899 drukowane będą jednocześnie **dwie powieści oryginalne** mianowicie ciąg dalszy wielkiej powieści historycznej p. t.

## „KRZYŻACY" Sienkiewicza

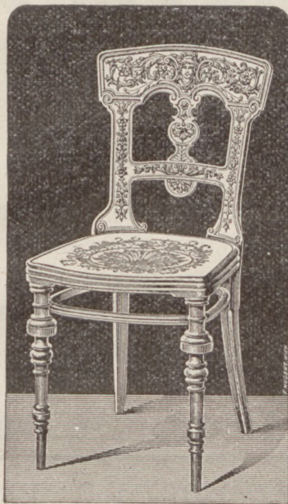
(której początek nowi prenumeratorzy nabywać mogą za kop. 90), oraz

## „Argonauci" większa powieść **E. ORZESZKOWEJ.**

W dodatku powieściowym, dołączanym co tydzień w arkuszach, rozpoczniemy z N. R. pow. hist. głośnego pisarza węgierskiego **Jul. Wernera** p. t. **„Z popiołów."**

Prenumerata „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO" wraz z dodatkiem powieściowym i **12-tu** tomami dzieł **H Sienkiewicza** wynosi: **w Warszawie:** rocznie rub. **8**: **z przesyłką pocztową**: kwar. rub. **3**, półrocznie rub. **6**, rocznie rub. **12.**

Na oprawę 12-tu tomów dołączać można rub. **1** kop. **80.** 1020-1-1
Adres Administracyi „Tyg. Illustr." **Krakowskie-Przedm. 17, Warszawa.**



**NAJWYŻEJ ZATWIERDZONE**
AKCYJNE TOWARZYSTWO

## Fabryki Mebli Wiedeńskich JAKÓBA i JÓZEFA KOHN

***Warszawa, Plac-Teatralny № 11.***

Poleca
wielki wybór najgustowniejszych i najelegantszych mebli wiedeńskich,
a mianowicie:

**MEBLE ZWYCZAJNE, MEBLE FANTAZYJNE, MEBLE BUDUAROWE, MEBLE GABINETOWE, MEBLE SALONOWE** i t. p. **wyplatane, wypalane, imitacya skóry w różnych kolorach i deseniach, kryte materyą, skórą, pluszem** i t. p. 1033-3-3
**Pierwsze źródło tej branży.**
**CENY PRZYSTĘPNE.**

***Egzystująca od 1893 r.***

## PRACOWNIA OKRYĆ DAMSKICH

i wierzchów do futer 1024—10—3

## Michała Kmita

w Warszawie, Krakowskie Przedmieście Nr. 69.

Przyjmuje wszelkie obstalunki z własnych i powierzonych materyałów i wykonywa takowe podług ostatnich żurnali **modnie, dobrze, niedrogo i na czas ściśle oznaczony.**



## Dozwolone przez Władzę Lekarską

na ogólnych zasadach handlu



## Délice (Delis)

**Wynalazek** Towarzystwa Przemysłowego przetworów Chemicznych w Paryżu Compagnie Industrielle de produits chimique á Paris). Zbiór roślin Alpejskich, służących do domowego wyrabiania francuzkich likierów żółtego i zielonego **„Chartreuse"** et **„Benedictine"** pod względem smaku, zapachu i koloru w niczem nie ustępujących likierom wyrabianym we Francyi. Butelka likieru z roślin **Delice** wynosi od 75 do 90 kop., gdy tymczasem butelka fabrycznego likieru francuzkiego kosztuje od rs. 5 do 7. Cena jednego pudełka „Délice" bez kosztów przesyłki kop. 50, przy zamówieniach nie mniej niż 10 pudełek koszta przesyłki się nie liczą i zamówienia wysyłają się za zaliczeniem. Sposób użycia znajduje się przy każdem pudełku. Miejsce sprzedaży w Warszawie przy ul. S-to Jerskiej nr. 28 u Ch. Kamienomostskiego, do którego zechcą się zgłosić osoby, któreby pragnęły mieć wyłączną sprzedaż w pewnych rajonach. Można również dostać „Delice" we wszystkich znaczniejszych zakładach aptekarskich i gastronomicznych.
900—10—12

Pracownia Sukien i Okryć Damskich
b. krojczyni firmy *B. Herse.*

## JADWIGI ESMAN,

**Krakowskie-Przedmieście, Hotel Saski 116, 1-e piętro.**

Pracując przez lat kilka w pierwszorzędnych magazynach w Paryżu jak: **Rouff, Felix i Doucet,** następnie zarządzając czas dłuższy pracownią W-go Hersego, obecnie przyjmuje wszelkie obstalunki w zakresie konfekcyi damskiej wchodzące, z własnych lub powierzonych materyałów. Obstalunki na prowincyę wykonywa się podług przysłanej miary. 1010-12-3

## Dr. A. BUCKIEWICZ

**Wilcza Nr. 28.** 936—12—8

Choroby **wewnętrzne** (zwłaszcza „reumatyzmy" i „nerwowość") oraz skórne (np. wilki, liszaje, plamy skrofuły etc.) mające związek z chorobami wewnętrznemi, tudzież zapalenie skrofuliczne oczu, dzieci i dorastającej młodzieży własną metodą. Kron poniedziałków, codziennie od **11—1** i od **5—6.** Niedziele i święta do **10** rano. Ubogich bezpłatnie.

## LIST OTWARTY

## do P. Plato v. Reussnera,

Długo ociągałem się z nabyciem Pańskiego **„Samouczka"** Francuskiego z przyczyny jego niby pozornie wysokiej ceny, stosunkowo do moich szczupłych funduszów. Nareszcie zachęcony pochwałami moich przyjaciół i znajomych, odważyłem się nabyć 47 zeszytów tegoż **„Samouczka"** przy pomocy którego zrobiłem w krótkim czasie wielkie postępy w znajomości języka francuskiego bez żadnego wysiłku umysłowego i przekonałem się, że każdy zeszyt **„Samouczka"** ma wartość nie kop. 15, ale co najmniej 15 rubli, bo oszczędziłem kilkadziesiąt rubli na pomoc nauczycielską. Dziękuję Panu za mozolne opracowanie tak pożytecznego dzieła, które polecam każdemu, kto nie posiada środków, lub wcale nie może korzystać z pomocy nauczyciela.

**Wincenty Szkutnik.**

Będzin, gub. Piotrkowska,
Dnia 4-go stycznia 1898 r. 1021-2-2

## Władysław Popiel

**Jubiler. Egzystuje od 1858 r.**

Warszawa, Senatorska Nr. 6

poleca wielki wybór biżuteryi gustownej po cenach przystępnych. 1016-26-3

**A. ORACZEWSKI, Jubiler**
**Nowy Swiat 29 (róg Chmielnej)**

**Najtaniej!** poleca

## *Na Gwiazdkę!*

| | |
|---|---|
| Pierścionki | Szatlenki |
| Broszki | Kubki 1030 4-3 |
| Kolczyki | Papierośnice |
| Bransoletki | Filiżanki i t. p. |
| Szpilki | oraz **Zegarki** |
| Spinki | Genewskie |
| Breloki | z pierwszorzędnych |
| Łańcuszki | fabryk. |

***Wielki wybór.***

**Uprasza się o zwrócenie uwagi na adres firmy.**

**Peleryny** od rs. **3.**—**Płaszcze** od rs. **6** nieprzemakalne.—**Kalosze.**—**Wanny** (toby) i **Bidety** gumowe.—**Opaski** ochronne.—**Poduszeczki** hygieniczne. — **Kurtki** na futrze. — **Serdaki** męzkie, damskie i dziecinne.—**Buty** filcowe do polowania, konnej jazdy, podróży i dla chorych.—**Pantofle** od 50 kop. **Kufry, Walizy, Torby** i **Nessesery.**—**Pudła** i **pudełka** do kapeluszy i sukien w wielkim wyborze *polecają*

## J. ROKICKI i S-ka

*WARSZAWA* 979-15-14
***Nowy-Świat 53 i Wierzbowa 8.***

ZAKŁAD GALWANICZNY
**JANA ZABOKLICKIEGO**
b. Galwanizera firmy „Iflanda i p. Filipskiego"
**Senatorska № 28-30,**
(dom Hr. Zamojskiego)
Przyjmuje złocenie, srebrzenie, niklowanie i oksydowanie wszelkich metali.
894—25—23

**Po gruntownem odnowieniu i rozszerzeniu interesu.**

**Specyalna Pracownia i Magazyn** BIELIZNY Męzkiej, Damskiej i Dziecinnej! **E. Z. ANUSZEWSKIEJ** ***Marszałkowska 91.***

Poleca **Bieliznę** własnego wyrobu odznaczającą się wyborem **krojem, trwałością i nizkiemi cenami,** przyjmuje zamówienia na całkowite wyprawy z własnych i powierzonych materyałów. 1005—12—7

# Dla Pań malujących

Farby, Przybory Artystyczno Malarskie, Wzory, Szkice, Rzeźby i t. p. poleca Skład

**T. CZARNOCKIEGO**

**101, Marszałkowska 101,** w WARSZAWIE. 812-5o-39

---

# Była Nauczycielka

przyjmuje na stancyę kształcące się panienki w różnych zakładach naukowych. 923-13-15

Fortepian na miejscu. Cena nizka

***Złota 36—33.***

---

PODRĘCZNIK NIEZBĘDNY

dla rodziców i osób wstępujących w związki małżeńskie

# MAŁŻEŃSTWO

pod względem

Fizyologii i hygieny

opracował D-r W. LUBELSKI

Wykład zupełnie przystępny

**Cena 1 rubel**

Do nabycia w Księgarni Warszawskiej W. Wodzyńskiego 1034-2-2

*Krakowskie-Przedmieście № 41.*

Oraz w innych księgarniach.

---

„LEOCADIE"

specyalna pracownia

***Ubiorów Dziecinnych***

w Warszawie, Trębacka 3.

981—12—7

---



## K. M. Schröder

Nowy Świat 24.

**Skład fortepianów i pianin.**

**Wynajem i sprzedaż na raty.**

Telefon 1288. **Cenniki gratis i franco.**

944—52—20

---

Pierwszorzędne biuro Antoniny Piaseckiej poleca nauczycieli nauczycielki, bony, sprowadza cudzoziemki. Krakowskie-Przedmieście Nr. 38 wprost Placu Saskiego. 904—25—14

---

## Maurycy Lepersohn

***Dzika 16 m. 16.***

Wykwalifikowany za granicą, poleca wykonane akuratnie podług najświeższych fasonów

*Okrycia Damskie i Wierzchy do futer.*

Tak z własnych jak powierzonych materyałów 1003-12-8

---



Skład Fortepianów i Pianin

## K. O. FIEDLER

Warszawa, 64 Nowy Swiat 64.

Częstochowa 2-ga Aleja dom W-go Bessera

Sprzedaż na raty i wynajem

na składzie fortepiany: Blüthnera, Bekkera i innych

Pianina od rub. 300 z poręczeniem.

*Przybory do fortepianów*

1009-12-8

---

MAGAZYN MEBLI

**Bracka Nr. 25.**

oraz

Zakład Tapicersko-Dekoracyjny

Leszno Nr. 24.

**ANTONIEGO STRÓMIŁO**

przyjmują zamówienia na całkowite urządzenie Apartamentów od najskromniejszych do najwykwintniejszych. 1026-52-3

---

ZAKŁAD SZCZOTKARSKI

## Józefa Wasilewskiego,

Egzystujący od r. 1889 w okolicy placu Ś-go Aleksandra — znacznie powiększyłem i przeniosłem do nowo-otworzonego Sklepu przy ul. Mokotowskiej № 55.

Daje wyroby trwałe.

**Ceny przystępne.**

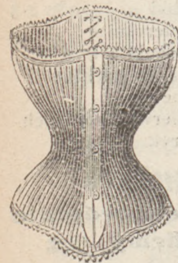
---

BIURO NAUCZYCIELSKIE!

**BRONISŁAWY GOLCZEWSKIEJ**

Nowotworzone pierwszorzędne kaucyonowane. *Rekomenduje* nauczycieli, nauczycielek bony różnych narodowości. **44 S.-Krzyzka 44.** 963—25—10

---



# KAZIMIERA WINER

Nr. 3, Królewska Nr. 3, w Warszawie,

*(drugi dom od Krakowskiego-Przedmieścia).*

Poleca wielki wybór **Gorsetów** po cenach bardzo przystępnych, zaczawszy od **rs. 2 do rs. 30**, odstępuje znaczny rabat dla **pań Nauczycielek, Pensyonarek** i wogóle **Pań pracujących.** Jako specyalność **Gorsety hygieniczne, Gorsety dla ułomnych** i szelki do prostego trzymania się.

Z prowincyi przyjmuje zamówienia i wysyła za zaliczeniem pocztowem. 984—6—6

---

## Jòel Herzenberg

*Warszawa, Tłomackie № 1.*

**SKŁAD TOWARÓW JEDWABNYCH i MANUFAKTURNYCH**

oraz 995-12-10

wszelkich Podszewek dla Konfekcyi Mezkiej i Damskiej

---

Pracownia Sukien i Okryć

**i nauka kroju systemem Wortha.**

## L. Stefańskiej

*Plac Krasińskich № 8a, parter*

Wykonywa suknie wyprawy podług najświeższych modeli paryskich, z materyałów własnych lub powierzonych. Wykończenie staranne. 1011—6—3

---

WARSZAWSKI ZAKŁAD REPARACYJNY.

## W. BŁAŻEJEWSKIEGO.

***Widok 24 w Warszawie.*** 933-50-20

przyjmuje reparacye **maszyn do szycia** wszelkich systemów.

---

Nowootworzony skład dywanów *ul. Erywańska 14.*

p. fir. K. KRUSZYŃSKI i L. MICIŃSKI. 1028-52-3

poleca: wybór firanek, obić meblowych chodników i t. p. po cenach nizkich.

---

Zupełna wyprzedaż wyrobów najzylbrowych (na białym metalu) po cenach fabrycznych z powodu zwinięcia tego działu.

# Bracia P. i J. Łopatinowie

1040-3-1 Warszawa, Rymarska 14, I-e piętro

Telefonu № 1156.

Składy otwarte od godz. 9 do 7-ej wiecz.

---

# Wielki wybór tulskich samowarów

Sprzedaż hurtowa i detaliczna

# Bracia P. i J. Łopatinowie

1039-3-1 Warszawa, Rymarska 14. I-e piętro

Telefonu № 1156.

Składy otwarte od godz. 9 do 7-ej wieczorem.

---

# PRZYJACIEL DZIECI

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE

## Nauce i Rozrywce Młodzieży Poświęcone.

W części literackiej zawiera: opowiadania historyczne i z podróży, powieści, wiersze, komedyjki, pogadanki naukowe, zadania różne, rebusy i t. p. Wszystko to w formie odpowiedniej dla umysłów młodocianych.

Część illustracyjna bogata i bardzo starannie opracowana.

**Premium bezpłatne książka.**

**Prenumerata wynosi:** w Warszawie kwartalnie rs. 1, rocznie rs. 4. Na prowincyi kwartalnie rs. 1 kop. 25, rocznie rs. 5.

Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.**

Warszawa, Chmielna 26.

**Na żądanie wysyłają się numera okazowe.**

---

# Na Gwiazdkę!

# Wydawnictwa dla młodzieży i dzieci

| | | | |
|---|---|---|---|
| W. Gomulicki: Niedziele Romcia . . . . | rs. 1 | kop. 50 |
| Esteja: Królewicz Kędziorek i królewna Perełka | „ 2 | „ — |
| Br. Grabowski: Kolega Julka . . . . . . | „ — | „ 70 |
| M. Bzowska: Wirginia . . . . . . . | „ — | „ 25 |
| J. Norman Lockyer: Pierwsze początki astronomii | „ — | „ 60 |
| Z. Morawska: Z dziejów słowiańszczyzny kresowej | „ — | „ 25 |
| S. Gębarski: Zdobycie Konstantynopola . . | „ — | „ 25 |
| „ Marcus i Aurelian . . . . . . | „ — | „ 25 |
| „ Robinson Tatrzański, w oprawie . | „ 2 | „ — |
| broszurow . | „ 1 | „ 50 |
| Teresa Jadwiga: Dwie siostry . . . . . | „ — | „ 25 |
| „ Talizman Janka . . . | „ — | „ 25 |
| „ Aktea . . . . . | „ — | „ 25 |
| „ Orle skrzydła . . . . | „ — | „ 25 |
| E. Jerlicz: Krewni . . . . . . . . | „ — | „ 80 |

***Do nabycia w Administracyi „Przyjaciela Dzieci" oraz we wszystkich księgarniach.***